

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 11 STYCZNIA 1930 ROKU

NR. 2

TREŚĆ NUMERU: Przełamać wewnętrzną ociążałość — *Marja Morozowicz-Szczepkowska*. Bo tak się przyjęło — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Stary Kirkut“ — *Hanna Mortkowiczówna*. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Mój podśadny (dok.) — *Wanda Grabińska*. List do kraju, czyli nieudana mistyfikacja (dok.) — *Felicja Kruszevska*. Jak uczcić największą uczoną Polkę — *N. J.* Kobieta w świecie i w domu. Premje dla stałych Prenumeratorek. Narady Ziemianek — *M. K.* Trujące przysmaki (dok.) — *Prof. Feliks Teodorowicz*. Przystawki gorące (dok.) — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Żeby było ciepło pod spodem — *Well*. Dodatek „Kultura Ciała“. Dodatek powieściowy: „Jak kochano przed stu laty“ — *Giorgia Pisani* — autoryzowany przekład *Zuzanny Rabskiej*. Arkusz wzorów.

PRZEŁAMAĆ WEWNĘTRZNĄ OCIEŻAŁOŚĆ

Największym wrogiem kobiety jest nie brak praw — już je dziś posiadamy — nie brak warunków do pracy — niema trudności, którychby nie dało się pokonać przy wysiłonych chęciach — ale ta właśnie wewnętrzną ociążałość, co to każe robotę rozpoczętą rzucić, bo trudna, myśl szczęśliwą odpędzić, bo jest nie do zrealizowania, a każdy najdrobniejszy wysiłek przesadzić do dziecinnie fantastycznych rozmiarów i zrobić sobie z niego straszaka.

Jednym słowem, strach paniczny przed wystąpieniem samodzielnem i energicznem — co tu owijać w bawełnę! ślady tragicznej przeszłości kobiety — jej niewolnictwa. Niewolnictwo to ma źródło swoje w płci kobiety; w płci jej leży jej największe szczęście (macierzyństwo) i także najcięższa niewola, bo niewola serca (także macierzyństwo).

Dotychczas nierozdzielnie i niepodzielnie łączyła kobietą właśnie to macierzyństwo z wyłącznem oddaniem się dziecku, co niezawsze przecież dawało dobre rezultaty, nużyło niesłuchanie matkę, wyczerpywało ją całkiem jednostronnie, a dziecku, przebywającemu ciągle z tą samą znużoną osobą — zaryzykowałabym nawet to słowo: ciążyło.

Dla wyjaśnienia dodać muszę, że opiekę matki wyłączną uważam za konieczność aż do przedszkola. Jeśli chce mieć dziecko zdrowe, niegarbate i niewykształcone psychicznie (straszone, pozbawione jakiegokolwiek inicjatywy przez głupie zabawianie, niepozwalanie na odruchy samodzielności i t. p.), to musi się sama zająć tem swoim dzieckiem do lat sześciu.

Potem dobrze, gdy matka zajmie stanowisko najwyższej instancji, zamiast nieustannie dziećmi kierować: znużą się nią bardzo szybko i przestaną z jej autorytetem się liczyć.

Jeśli kobieta posiada kilkoro dzieci, minimum dziesięć lat musi dzieciom swoim poświęcić wyłącznie.

Po tym okresie stanowczo powinna pomyśleć o sobie; po straszliwie ciężkim, znużonym wysiłku, należy się rozejrzeć we własnych siłach, stratach, przybytkach, rezerwach. Tembardziej, że patrzy na nas baczne i wrażliwe oko — naszego dziecka. Jest to krytyk bardzo ostry, nic mu nie ujdzie, a bliskość codziennego pożycia odsłania mu największe słabizny, nie dające się ukryć — jesteśmy często śmieszne, często nieznośne, aż zbyt często zdenerwowane.

Gdy po okresie tego wielkiego i jednostronnego trudu kobieta wyprostuje głowę i chwyci w piersi tchu, przekona się, że aż nazbyt odeszła od swoich ideałów, pracy zawodowej, że nieraz prześlepiła, a nawet zagubiła swoje zdolności; przekona się, że nie należało tak całkiem wyłącznie zasklepić się w swoich trudach matki, że doskonale byłoby jej zrobiło małe spauzowanie, chwilowy choćby nawrót do ciekawiających ją przed okresem macierzyństwa zagadnień; ale kiedy była znużona, nie chciało jej się zajrzeć do swoich minionych czasów i nieraz pięknych poczynań.

Następne dziesięciolecie wychowania dzieci — to już okres znacznie łatwiejszy, wymagający raczej

kierowniczego udziału matki, gdyż dzieci już chodzą do szkoły, gdzie wciąga je orbita zagadnień o szerszym zakresie — tu już kobieta może stanowczo odechnąć. Jeśli nie interesuje jej nic poza domem (widocznie taka jest jej kompleksja moralna), zostawmy ją w spokoju, lub kołaczmy do niej, niech właśnie przełamie swoją wewnętrzną ociężałość, z pod której niejednokrotnie wytryskają bogate źródła tajnych, a więc nowych energii.

Dlatego właśnie kobieta jest taką cenną siłą, że staje z nieruszonemi dotąd zapasami entuzjazmu, tego motoru wszystkich wielkich społecznych i twórczych zagadnień. Ambicją kobiety musi być rozszerzenie sfery swych zainteresowań na wszelkie sprawy, zajmujące ogół ludzki, a nie tylko maleńkie podwórko jej najbliższych zatrudnień; jeśli się w niem zamknie, zuboża się bezpowrotnie, sama sobie zakreśli drobne kółeczko, w którym kręci się, jakże miźnie! czemu, dlaczego?

Niechaj pamiętają te właśnie kobiety, co wymawiają się od wszelkiej pracy społecznej (odrzucając zarobkową) obowiązkami względem swojej rodziny, że z czasem rodzina się rozpieczęnie, dzieci opuszczą dom ojczysty; jest to naturalne i nieuniknione, a kobieta, powiedzmy czterdziesto-pięć latnia, a więc w pełni sił ludzkich, zostaje samotna i, oczywiście, zgorzkniała, bo po wielkim wysiłku odczuwa niesprawiedliwość życia, które zamiast nagrody, dało jej pustkę i rozczarowanie.

A tymczasem krzywda jest fikcyjna, bo dzieci nie mogą wiecznie tkwić w swem gnieździe, byłoby to za szkodą ich i społeczeństwa, a matka, odchowawszy je, może być już tylko ich towarzyszką i doradczynią. Spłaciwszy dług życia, powinna zająć się sobą, dogodzić swoim upodobaniom, talentom czy pasjom — już nikomu tem nie przyczyni krzywdy, przeciwnie, podniesie poziom ogólny, choćby tylko swem zadowoleniem osobistym. Wszakże szczęśliwe społeczeństwo — to szczęśliwi ludzie.

Najlepiej zaś i najsluszniej uczyni kobieta, gdy od samego zarania olbrzymiej zmiany swego życia (małżeństwo) stanie twardo na gruncie swojej osobowości, poczawszy od nieporzucania dotychczasowej pracy, która daje jej choćby częściową niez-

ależność materialną, no i to, co nie ulega najmniejszej wątpliwości — pozycję moralną.

Inaczej się odnosi do kobiety i inaczej ją szanuje mężczyzna, gdy wie, że kobieta każdej chwili da sobie bez niego radę i że jest to osoba, nie pionek, osoba, zajmująca takie czy inne stanowisko. Nawet najskromniejsza niezależność wytwarza zdrowe poczucie, że się jest potrzebnym i pożytecznym; poczucie to wiąże z całą pracującą ludzkością, minionymi i przyszłymi pokoleniami.

Gdy więc kobieta w wypadku zamążpójścia i wyłącznego zajmowania się rodziną przepracuje przy domowym ognisku swe pierwsze dziesięć lat — mam na myśli odchowanie dzieci, dziś już zresztą ułatwione przez przedszkola — musi w drugim dziesięcioleciu przejrzeć swe siły i wrócić do formy.

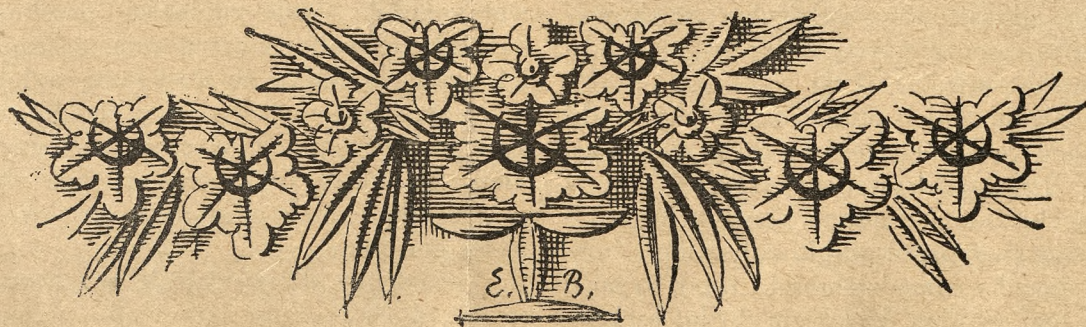
Jeśli przed zamążpójściem nie miała fachu i nie odznaczała się specjalnymi talentami, do których uprawiania należałoby wreszcie powrócić, czeka ją i bez tego praca piękna i konieczna, na ręce jej i siły czeka naród cały — czeka ją praca społeczna, od której uchylić się nie może; praca, wymagająca przede wszystkim dobrej woli i zrozumienia doniosłości tej prawdy, że budowniczym kultury społeczeństwa jest każdy bez wyjątku obywatel; że każdy zbrodniarz, pijak i prostytutka — to wyrzut sumienia dla uczciwych, trzeźwych i moralnych, bo może i tamci byliby inni, gdyby się wczas nimi zajęto i pokierowano.

Każdy zmarnowany człowiek — to strata w bilansie majątkowym narodu; każdy człowiek uświadomiony i twórczy — to mnożna wielkiego materiału ludzkiego, szczęścia lub niedoli naszego narodu.

Pełnię człowieczeństwa kobieta osiąga dopiero wtedy, gdy poza pracą w swoim fachu, czy w swoim domu, potrafi dać jeszcze z siebie bezinteresownie i radośnie te twórcze siły, co, jak lemiesz pług, poruszają zaniedbane i zachwaszczone ugory!

Tylko jedno: przełamać w sobie wewnętrzną ociężałość, a gdy się to stanie, kobieta sama się zdziwi, jakie skarby entuzjazmu i szlachetnych porywów posiada jej bogata, niezmeńczona twórczym wysiłkiem wieków — indywidualność.

Marja Morozowicz-Szczepkowska.



M. H. SZPYRKÓWNA

BO TAK SIĘ PRZYJEŁO

Konwencjonalne, utarte zdania, jakkolwiekby były fałszywe i wyżyte już ze swojej kiedyś aktualnej treści, zawsze znajdują zwolenników. I trzeba dopiero energicznego przeciwdziałania i jaskrawych przykładów, aby zapewnić ludzi, że jednak to, co uważali za nieuniknione lub wskazane, jest wprost przeciwnie: łatwe do usunięcia i wręcz szkodliwe.

Pomijam moc obyczajowych szczegółów, któreby pod ten paragraf dały się łatwo podciągnąć. Między innymi, karnawał z jego ryczałtowością i obowiązującym niejako szaleństwem, podczas gdy niejedynemu z tego powodu ma tylko dużo kosztu i nadprogramowe odciski, jest tego znakomitą ilustracją. To samo dałoby się powiedzieć o pewnym sposobie ubierania się w nieodpowiednich warunkach, bo wszyscy się tak ubierają, jakkolwiek ci wszyscy mają właśnie inne warunki i inny budżet; to samo o pewnych nawet nakazach etycznych: uważamy za dozwolone zło, to zło, które w naszych oczach jest popełniane przez innych. Zapominamy jednakże, iż odpowiedzialny jest każdy tylko za siebie, nie za kogoś, kto może być od niego ciemniejszy i mniej uświadomiony, a w każdym razie — który ma własne saldo w rachunkach niebieskich. Dobro także klasyfikujemy nie podług własnego odczucia i porywu, tylko — podług norm, stosowanych do niego przez innych: można dać jałmużnę na ulicy, owszem: tak robi pan Iks i pani Ygrek. Ale nie można, dajmy na to, podnieść kawałka węgla, który spadł posłańcowi z ciężko naładowanego kosza, jakkolwiek ugina się pod jego ciężarem i rozswpie wszystko, o ile zechce się pochylić: bo temu zdumiałby się wytworny pan Zet i nigdyby to na myśl nie przyszło tak dobroczynnej skądinąd pani Zetowiczowej. Odruchom, niezarejestrowanym w kodeksie konwencjonalnym, innym dla każdej epoki, ale w każdej epoce istniejącym, podlegają tylko ludzie naprawdę samodzielni duchowo, jednostki, wyniesione ponad ogół. Takim, na przykład, był zapewne w swojej epoce — bardzo najeżonej feudalnym ceremonjałem i surowszej, niż nasza, na wykroczenia z ryz — młody Franciszek Buonarrotte, późniejszy święty z Assyżu. Jak wiadomo, będąc synem samożnego i skoligaconego ojca i bawiąc się zapamiętałe w gronie złotej młodzieży, podległ pewnym fermentom duchowym, które go absolutnie odwróciły od dotychczasowego trybu, a kiedy ojciec wobec władz duchownych zawezwał go na rozprawę ku upamiętaniu i wyrzucił, że, żyjąc jego kosztem, żyje mu na sprzeciw — młody gwałtownik zerwał naraz wszystko, co miał z sukien na sobie, i cisnął ojeu, wołając, że pójdzie, jak jest, a Pan go przyodzieje. I biskup musiał go tymczasem przyokryć własnym płaszczem, bo urażony w swej mieszczańskiej ambicji rodzic zabrał istotnie tak spostspo-

nowane ubranie, aby nie przepadło. Tenże Franciszek, chodząc w czasach późniejszych po drogach i polach włoskich, nie zawahał się ani na chwilę, aby rozedrzeć na połowę swój własny, cały płaszcz i tą połową okryć żebraka przy drodze.

Czyn sam w sobie, zdawałoby się, tak prosty! A jednak, wieleż skrupułów mielibyśmy my, każdy z nas, których ominęło to boże szaleństwo, aby go popełnić! Rozdzierać rzecz całą? Szkoda! Raczej pójdziemy do domu i może wyszukamy coś starego. A wogóle, może to nie ubogi, tylko udawacz i przepije nasz krwawo darowany płaszcz?... I zresztą, czy nie ośmieszymy się zbyt kapitalnie, idąc przez miasto w jakimś łachmanie, obdartym do połowy, i co na to ludzie powiedzą?...

Oto małe szpilki, o które się zahacza zwykle ludzkie miłosierdzie, jak owca o krzak cierniowy, podczas gdy ci właśnie szaleńcy boży unoszą się na skrzydle niepodzielnego porywu ponad małymi zahaczeniami i jeżeli krwawią skrzydła, to na wielkich włóczniach męczeństwa. Nas na to nie stać i tego, oczywiście, nikt żądać nie może od przeciętnego i tylko normalnymi normami zła i dobra kierowanego człowieka.

Ale jednak są pewne punkty martwe w tych normach, które ruszyć należy. Naprzykład, utarło się u nas pewne przekonanie, które mnie osobiście doprawdy wprawia w szczerą pasję, bo powstało wśród ludzi, wyzbytych zmysłu społecznego, a narzucone zostało ogromnym masom, w których ten zmysł wykształcać potrzeba przede wszystkim — ulicy i młodzieży. Są to, na przykład, tytuły filmowe, a są takimi, bo... u filmowców utarło się zdanie, że inne „nie wezmą publiczności“.

Miły Boże! cóż za wyobrażenie powziąłby o naszym poziomie moralnym cudzoziemiec, któryby temi tytułami zechciał w poziomie tym się orjentować! Wszystko, co najbezmyślniejsze, skojarzyło się tam ze wszystkim, co najohydniejsze, i tańczy na płótnach ekranu i reklamach ulicznych najprzedziwniejszą sarabandę dookoła zajeżdżonego, jak szkapa dorozkarska, słowa: — Zmysły. „Szał zmysłów“, „Niewolnicy zmysłów“, „Pożoga zmysłów“, „Rozkosz zmysłowa“, „W kajdanach zmysłów“, „Okowy zmysłów“, „Noc szaleństwa“, „Szał rozkoszy“, „Noc poślubna“, „Upojenie jednej nocy“ — nie! kto by to wszystko zapamiętał! Co komu mówi taki tytuł, o Boże!? Mówi jedynie, że ci, którzy stoją na czele tytułowania — a nie są to bynajmniej, mówiąc nawiasem, autorzy filmów, tylko eksploatacysty — że ci ludzie absolutnie nie zdają sobie sprawy z całkowitego zmatowania jaskrawości, która kiedyś mogła istotnie być nowa i ucieszyć oko... wyrostka, zafrapowanego gwał-

townemi uściskami par, całujących się na sążnistych reklamach pośrodku ulicy.

Gdyby tak jedna niewinna para żywa stanęła na chodniku i zaczęła się całować o połowę bodaj tak rzewnie, policja zgorszona interwenjowałaby i zrobiłby się kram. Tymczasem na obrazie — bynajmniej! Wszystko wolno, i rodzice, spacerujący z dziećmi po ulicy i przez te dzieci nagabywani, są w ustawicznym kłopotcie odprowadzania ich od tych szyldów sankcjonowanego wyuzdania, i zagadywania tematu czem innym. Każdy ojciec i każda matka, ile może, temu prywatnie przeciwdziała — a miasto, jako takie, i państwo, jako takie, publicznie i płatnie krzewi, i owszem, jaskrawe obrazy scen, które w żywym wykonaniu karałoby również policyjnie. Gdzie tu jest logika i kto to jest, kogo trzeba powiesić, ażeby nie cierpiał kowal za bednarza? Nie wiem. Ale byłabym serdecznie ciekawa się dowiedzieć! Pociągnęłoby to za sobą wędrówkę od Annasza do Kaifasza, ale wkońcu może byśmy jednak dotarli.

Dlaczego na amerykańskich filmach, robionych dla Ameryki — bo są specjalny na eksport, naprzykład dla nas — to co innego! — dlaczego u nich nikt się na filmie kwadransami nie zacałowuje i nie otwiera sypialni na widok publiczny ku zbudowaniu maluczkich? A jest to przecież naród liberalny i o potężnej produkcji! Niemniej, radzą sobie inaczej, i film nie wymaga tam tytułu, grającego na naiwnym prymitywizmie erotycznym, aby miał powodzenie. Znakomite arcydzieło Griffitha, u nas lansowane pod tytułem, o ile się nie mylę, „Niewolnica miłości“ (prawda, jaki nowy i uderzający uwagę?!) tam się nazywał poprostu, zgodnie z treścią i... artyzmem: „Way down East“ — „Daleko na Wschodzie“.

O ile świat zmysłowy może i powinien mieć swój okres rewelacyjny w każdym życiu poszczególne, o tyle szpikowanie nim, od ławki szkolnej, młodzieży tytułami, obrazami i filmami, i to w taniej

parodji, może tylko obrzydzić, utandetnić i znieprawić to właściwe dobro, jakiego z dziedziny namiętności zdolni byli kiedyś wykrzesać. Jest to jakiś nierozstrzygnięty błędnie społeczno-pedagogiczny, jakiś biały paragraf w przepisach cenzury miejskiej, które jednak przejrzyć i doprowadzić do porządku należy — bo niepotrzebnie a nieuchronnie obniża poziom naszego tłumu, na kinie dzisiaj się wychowującego, i który wobec tego, naprawdę łatwo zgadnąć, na co się wychowa. Do kina idzie zarówno nasza córka i syn z koleżankami i kolegami, jak nasz syn z nieznana nam nieraz panienką i nasza córka z niezawsze również wiadomym nam młodym człowiekiem: liberalizmy są na czasie. Idzie także i nasza służąca ze swoim amantem, lub takim, który dopiero o to zabiega: napewno zabiega skutecznie! Nie wyniosą oni z filmu w wielu dziesiątych nic, coby ich powściągało i hamowało w ich własnych założeniach zmysłowych, a przeciwnie — wszystko popycha te instynkty ku dopełnieniu. Złudzenie, dostosowane do pewnych celów filmowo-kasowych, przyjmują za samo życie, i postępują w życiu tak, jak ich bohaterowie na ekranie postępowali tylko... na niby. Rozdźwięk każe nieraz drogo za siebie płacić! Ale — czy można mieć o to do nich pretensję, skoro ulica krzyczy do nich i skacze im w oczy wszystkim, czego właściwie w życiu popęlniać właśnie nie należy?...

W imię przyzwoitości publicznej i przez wzgląd na to, że ulica jest salonem tłumu, który tam się bawi i kształci, i w imię poszanowania praw artystycznych autorów filmu, którzy są pod względem tytułów i inscenizacji aż nazbyt po macoszemu traktowani, a to wstyd: proponowałabym tej części fachowców ekranowych, która sama nie chce dojść do poziomu, w kulturalnym społeczeństwie obowiązującego, aby z dobrej woli zrezygnowali z lansowania erotyzmu kosztem sztuki, zanim protest powszechny postawi tę sprawę ostrzej.



HANNA MORTKOWICZÓWNA

STARY KIRKUT

*Rozkrzewiły się chwasty, schyliły kamienie
I krew zakrzepla w rdzawym sople berberysu.
Może inaczej chciało groźne przeznaczenie
I inna jest rzeźbiona myrocznia napisów?*

*Może przedwieczne, trudne, obce tajemnice
Z gorzkich zarośli ziela krzyczą o przeszłości?
Zgruchotane tablice, lwy i gołębicę,
Zdmuchnięte świece życia i spróchniałe kości.*

*Może inny jest zakon biblijnego Boga,
Co kazał walczyć z wrogiem i miłować brata?
Dziś — jedno jest stąd wyjście i jedyna droga:
Przez gąszcz polskich cierni — w żywe serce świata.*

HERMINJA NAGLEROWA

36)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Franek prawie rozpaczal, że tak drobniej w tych wyznaniach. Ale ona sądziła, że zadziwi go swoim męczeństwem, że urośnie bohaterstwem.

— Miałam zresztą ciebie i dla ciebie musiałam się bronić przed ostatecznym poniżeniem.

Wtedy krew rozplynęła się po ciele, jak niszcząca powódź. Już nie i nikogo nie chciał ratować z katastrofy — tylko siebie. Zaciśnął zęby, żeby nie wykrzyżeć tych słów, które nie były przeznaczone dla niczyich uszu: — Kłamiesz, kłamiesz, nie miałś mnie! Miałś jednego, drugiego, trzeciego — a ja, ja przecież tylko przeszkadzałem!

— Ty byłeś celem mojego życia, dla ciebie pracowałam — znęcała się nad nim swoją szlachetnością. — Był czas, że mi wcale nie przysyłał pieniędzy, choć się zobowiązał. I teraz tak samo, korzysta z tego, że go obraziłeś. Wiesz zresztą, jaki on jest, już go chyba dobrze poznałeś.

Teraz jej słowa stawały się prostaczkę, ale łatwiej je można było znieść, niż tamte wyświechtane wzniosłości. Można je było przynajmniej zrozumieć dosłownie. Lecz Zofja znowu nawróciła do górnej mowy, do tych swoich podeptanych uczuć i praw, więc Franek nie potrafił już opanować czerwonego wichru, który nim targnął.

— On i ty mieliście swoje prawo wolnych ludzi. Broniliście dzielnie swojego prawa. Ale obok was było — prawo dziecka. I przecież to wy daliście mu to prawo do życia. A potem wcale was nie obchodziło to dziecko. Bo kto z was myślał o mnie? Ty miałś swoje szaleństwa, które mnie wykluczyły z twojego świata.

— Co ty mówisz? Co mówisz?

Głos jej był ochryply, kraczący, a twarz jakby się powiększyła od zdziwienia, a może i przestachu. Franek już pożałował, że się uniósł, bo poco teraz wypominać, poco się przyznawać do swojej nędzy?

— Nie trzeba tego słuchać, co mówię. To było dawniej, kiedy byłem bezbronny.

Odczuwał niesmak, że mówi puste, jakby matce odebrane frazesy. Bo i o tej „bezbronności“, kiedy to właściwie nie tak było i nie o to szło.

Ręce Zofji szarpały się po kołdrze i ostry szelst jedwabiu wypryskiwał, jak iskielki, z pod paznogi. Franek, patrząc na ten ruch matki, porozumiał się dopiero z jej cierpieniem. Nie dopowiedziała mu do końca swojej ludzkiej biedy, nie wyznała nic z tego, co było jej szczęściem i nieszczęściem, może nawet kłamała, ale właśnie ten syk jedwabiu, ten chrapli-

wy syk, jakgdyby ktoś niemy skarżył się jedynym dźwiękiem krtani... Czułość syna pogłaskała więc zdaleka małe ręce, lecz nawet w szepcie nie zdradziło się głęboko ukryte rozrzewnienie, choć słowa były tak blisko, że wyczuwało się wargami ich miękkość: — Nie gniewaj się na mnie, moja biedna, malutka staruszczo.

XXXV.

Zofja zwlokła się wreszcie z łóżka, niechętna tym dniom, które będą znowu mroczyć się w pracowni. Narazie to było przecież jedyne i najważniejsze, bo już i tak dopominali się klienci z natarczywością, grożąc, że cofną zamówienia. A tymczasem słabe ręce trzęsły się, jak w febrze, i nie można było opanować fizycznego wstępu do pracy, ani zniecierpliwienia, które falą krwi uderzało w mózg. W nieopalanej od wielu dni pracowni panował chłodny ład i prawie zabrakło odwagi, aby tu sobą, zbiedzoną i jeszcze chorą, wprowadzić życie, żeby tej trupiej atmosferze oddać resztę swojego ciepła.

Zofja nie mogła się teraz pomieścić we własnym domu. Wypływała z niego myślami, niby dym przez otwarte okno. I tak właśnie bez kształtu i bez woli pragnęłaby zniknąć w jakichś pustych przestrzeniach. Jednak trzeba było, jak gąbka, nasiąkać rzeczywistością rozlicznych spraw domu i swojej pracy, choć lenistwo spierało się z tym za wielkim trudem: — Nie podołam, nie dam rady i wreszcie — nie chcę, już nie chcę i nie mogę! — Na przeciwległej ścianie domu świeciło srebrne słońce i do czyichś okien patrzyło niebieskie niebo. Nie można było spokojnie na to patrzeć i Zofja stawała się zła i zawistna: — Dlaczego jednym tak, a drugim inaczej? — Musiała myśleć o strojnych, pięknych kobietach, o futrach, kwiatkach, klejnotach, o wszystkim, co się przecież ludziom należy, co się przedewszystkiem należy tym, którzy nie mają osobistego szczęścia.

Wtedy przypomniała sobie panią Olę. Poznała ją kiedyś w salonie fryzjerskim, prawie zgnębiona jej urodą, krojem jej kostjumu i fasonem pantofli. Sprowokowały się najpierw uśmiechem, a potem rozmawiały już z sobą wśród szcękę żelazek i zuczającego szumu suszarek. Pani Ola, podobno wdowa po inżynierze, smętnymi domyślnikami szkicowała swoje życie, oczywiście, życie „bez celu“. Mówiła potem o potrzebie jakiejś pracy, o kapitale, któryby chciała umieścić, bodaj o jakiejś spółce, bo przecież wcale nie jest taka niezdarna, a nawet skończyła szkołę sztuki stosowanej. — Trzeba się czemś zająć, poza

fryzjerem i krawcową. Tracę poprostu szacunek dla siebie!

Z tej odrazu jakby przyjacielskiej rozmowy wynikły potem bardziej intymne posiedzenia w kawiarniach i telefoniczne, długie wynurzenia. Ale Zofja nie miała ochoty na proponowaną spółkę, czy na rozszerzenie warsztatu, bo Ola wydawała się zanadto pewna siebie i apodyktyczna. Zczasem pochowały się wprawdzie drapieżne pazurki, a zato imponowała trzeźwość Oli. Po każdej rozmowie z nią Zofja miała wrażenie, że nauczyła się czegoś, o czym przedtem nie miała pojęcia, a co było takie konieczne, tak poprostu nieodzowne w życiu. Ale teraz, gdy obrastała apatją, jak woda stojąca pleśnią, gdy już nie mogła sobie poradzić z sobą samą, z domem, ze stosami gałganów, z wstrętnym zapachem farb — Ola była bardziej potrzebna, niż kiedykolwiek. Tak więc sobie wszystko ułożyła, aby było łatwiej i lepiej, a Ola powiedziała: — Nareszcie doszła pani do rozumu.

Pracownia niemal przez noc przemieniła się w „wytwórnię“, bo Ola miała ambicję i znała się na sprawie. Więc nietylko abażury, ale szale i apaszki, ale i maszyny do plisowania i haftu. Jakieś anemiczne niebożątka, jak zielone jętki fruwały po pracowni, albo siadały przy maszynach, dygocąc, niby owady, wbite ssawkami w kwiat. Więc też któregoś dnia turkot maszyn przedziurawił ściany całego mieszkania, a na bramie pojawiła się tablica, głosząca złotymi literami, że to już „Zofja i Aleksandra“. Pokój Zofji stał się teraz poczekalnią i onieśmielał klientów swoją buduarową wytwornością. Franek mógł więc słyszeć poprzez ścianę, jak Ola, albo matka zawierały tranzakcje, jakie się to zamawia szale liworyzowane i malowane oraz wszelakie plisowania płaskie, łamane, szerokie i drobne.

Ola nie wiedziała jednak, że ma w tym domu nieprzyjaciół. Bezzębne usta Marty stały się bowiem wylęgarnią najwymyślniejszych „klęć“. Niewiadomo, skąd wyszła ta nienawiść i dokąd zmierzała. Dotyczyła ona zarówno smagłej cery, jak i siwych oczu Oli, a wysokie, smukłe nogi dawno już powinny były ulec kalectwu i nawet dziw, że kark był jeszcze cały i nieuszkodzony.

Franek również niecierpiał Oli. Drażniła go jej piękność, jej śpiewający głos, już nawet rytm kroków oburzał. Ale właśnie tak się rządziła, tak już ujarzmiła matkę i, niby królewska faworyta, panoszyła się tu swoją wspaniałą urodą. Nie wolno było ani słówkiem dotknąć tej damy.

— Mogę chwalić Boga, że ją znalazłam. Przecież to za jej pieniądze te maszyny, a przytem, jaka sprytka, jak sobie umie zjednywać klientów! Nie wiem, doprawdy, co do niej masz?

Marta, skrzyuczana parę razy, mamrotała niewyraźne obelgi, ale przed Frankiem mówiła o niej wyraźnie, głośno i z naciskiem: lafirynda!

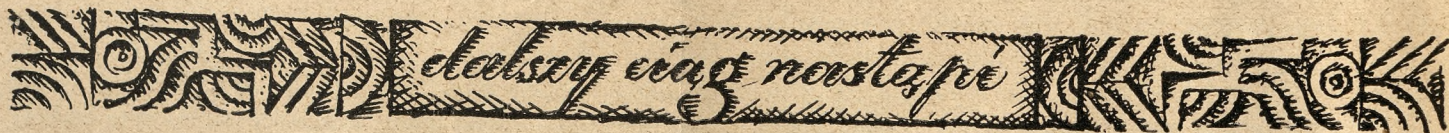
— Bo to niewiadomo, co za jedna. Prywatnym samochodem przed dom zajeżdża i jakiś grubas codzień w południe i wieczorem na nią czeka. Nie trudno wiedzieć, za jakie pieniądze cały nasz dom wyróciła do góry nogami. Pracy się jej zachciało i zyldu, żeby jej w rejestr nie wciągnęli.

Marta napewno przesadzała, ale Franek i tak już wyczuwał, że z Olą wtargnęło do ich domu coś nieznanego. Może to tylko zapach jej perfum, a może wrzawa maszyn, rozszarpująca ciało, mózg i nerwy na strzępy. Wszystko już układało się według rwącego się naprzód rytmu tych maszyn. Wraz z niemi coś zagnęła wybuchało i z przeciągłym westchnieniem konało, a wtedy głos Oli smagał, jak pletnię.

Tymczasem matka zbyła się już bladości, miała teraz znowu świeże, trwale ponsowe usta i mocną linją kreśliła brwi. Stała się jakby bardziej jaskrawa i bezustannie podniecona. Kilka przyjacielskich a doświadczonych rad Oli wzbogaciło gotownię Zofji, więc czuła się odświeżona i zdrowsza, jej kroki drobiły znowu młodocianym trucktem, a głos przy telefonie brzmiał swawolą.

Franek nie śmiał myśleć, jakie to sprawy mogą wynikać z tej cudownej przemiany, bo już pięknie wystrojona wychodziła matka wieczorami z domu, nawet do syna uśmiechając się zalotnie, żeby nie czekał na nią z kolacją, żeby się nią nie krępował. Ta dobra Ola wyciąga ją z domu, bo trzeba się przecież trochę rozerwać po pracy.

Nie mógł jej zatrzymywać, ani miał prawo zakazać jej tych niewiadomo jakich zabaw. Gdzieś tam pewnie śmiała się wesoło, jakby już zupełnie zapomniała o tym swoim ohydny płaczu. Franek mógł sobie, Bóg wie, co i jak wyobrażać, nie przecież nie zdołał się dowiedzieć o tych nowych radościach matki. W jakimś innym odbywały się świecie i dlatego błyszczące oczy matki pod strażą sztywnych, tuszem czernionych rzęs patrzyły coraz bardziej obco. Z początku dopytywał się z drwiącą kurtuazją, gdzie była, ale odpowiadała tak pobieżnie, jakgdyby nawet dla niej te sprawy nie miały żadnej wartości. Zatajała się teraz jeszcze zręczniej i trzeba ją było chyba szpiegować krok w krok.



WANDA GRABIŃSKA

2)

MOJ PODSĄDNY

A teraz znowu wchodzi duże chłopaczysko. Czupryna konopiasta. oczy jasne, otwarcie patrzące. Lat 16.

Oskarżony jest o przywłaszczenie roweru, w aktach tkwi już jedna poprzednia sprawa chłopaka. Zaglądam — też kradzież roweru! i to ledwie trzy miesiące temu. Wówczas kara została mu zawieszona.

— Pamiętasz, żeś miał tu sprawę.

— Pamiętam.

— I nie powstrzymało cię to od ponownego przestępstwa? I znów chodzi o rower. Czy ty się zastanawiasz, chłopcze, co ty sobie szykujesz? Jaki los sobie gotujesz własnymi rękami, co?

Milczenie. Głowa pochylona. Broda wwiercona w kołnierzyk.

— Czy ja mogę coś powiedzieć, proszę sądu? — wtrąca się matka. — Czy ja mogę coś powiedzieć?

— Pani jest jego matką, proszę.

Ubogo ubrana kobiecina podchodzi do stołu. Twarz zniszczona, ręce spracowane. Oczy w czerwonych obwódkach z płaczu, z niewyspania, ze zmęczenia...

— A bo ja to chcę powiedzieć, proszę sądu, aby sąd go oddał do poprawniaka. Bo ja już sobie rady z tym złodziejem nie dam. My sobie ręce urabiamy, a ten wyrodek robi nam taki wstyd. My w sądzie nigdyśmy nie byli karani! Mąż jest policjantem. Mamy sześcioro drobnych dzieci, a on najstarszy, zamiast pomóc, ściąga taką hańbę. D Boże! O Boże!

— Niech się pani uspokoi, niech mi pani opowie, dlaczego on z domu ucieka.

— Ja nie wiem, co go napadło, bo, powiedzieć po prawdzie, to on był dobry chłopak. Tylko te kolegi przekłete i te książki. I odkąd temu Kazikowi z przeciwka ojciec kupił rower. Wiadomo — wędli niarz, to może. To Stasiak, proszę sądu, nie, tylko o tym rowerze. Rower i rower! A gdzież ojciec-policjant może mu kupić? Więc powiem, jak była prawda. Chłopak poszedł do fabryki i przez rok składał sobie pieniądze. Ale kiedy chciał pójść kupić sobie ten rower, to go ojciec przychwycił i okropnie się rozgniewał, że w domu bieda, a jemu głupstwa w głowie. I odebrał Staśkowi te pieniądze i kupił młodszemu synowi palto i buty, bo tamten miał iść do szkoły. Co to było w domu od tego czasu! Stasiak uciekł i nie było go przez dwa miesiące. Aż tu dowiadujemy się, że jest w więzieniu. Jak grom z jasnego nieba! I po dał się nawet pod cudze nazwisko, że jest sierotą. Po tej pierwszej sprawie wzięliśmy go do domu, jak człowieka, a on po miesiącu znowu to samo. To niech zgnije teraz w więzieniu!

— Niech pani na chwilę wyjdzie. Chcę z chłopcem sama porozmawiać.

— No, Stasiak, dlaczego uciekłeś z domu po raz pierwszy?

— Bo nie mogłem wytrzymać, bo nie mogę się z ojcem zgodzić. Ja sobie uskładałem pieniądze, jakim prawem je odebrał i jeszcze zwymyślał od ostatnich. To sobie poszłem precz.

— Ale poco kradłeś?

— Bo ja właśnie uciekłem na tym rowerze. Wypożyczyłem go w welodromie na godzinę. Pojechałem za miasto... Jechałem i jechałem, a jak sobie pomyślałem o tem, co się stało w domu i że mógłbym tak jechać na własnym rowerze, to mi wpadło do głowy, żeby więcej nie wracać. Chciałem pojechać do Gdańska, zostać marynarzem.

— No i gdzie dojechałeś?

— Tylko trzydzieści klm. za Warszawę. Pękła mi kicha w rowerze i nie miałem jak jej nareperować. Byłem głodny, nie miałem pieniędzy... Więc zepsuty rower sprzedałem jakiemuś przechodniowi na szosie, a że bałem się wracać do domu, więc się włóczyłem przez dwa miesiące, aż mnie zatrzymała policja.

— A później byłeś w sądzie i sąd ci karę zawiesił, dając możliwość wykazania poprawy. Dlaczego więc znowu uciekłeś i znowu ukradłeś?

— Bo teraz to jest jeszcze gorzej. Ojciec mi ciągle wymawia, że siedziałem w więzieniu, że mu zrobiłem taki wstyd, a ja nie mogę tego słuchać, zabieram się i idę... Już mi wszystko obrzydło... Więc znowu wzięłem od kolegi rower... Myślałem, że teraz to mi się uda...

— Czy ojciec jest tu na sprawie?

— Nie. Ojciec nie przyszedł i powiedział, że już mnie do domu nie weźmie.

Ogłaszam decyzję:

— Sąd postanowił sprawę odroczyć, wysłać ojcu wezwanie z nadmieniem, że stawiennictwo jego jest obowiązkowe.

— A ty, chłopcze, idź teraz z panem opiekunem do pośrednictwa pracy.

Znowu skrzyp drzwi i znowu mała postać. Drobny, mizerny chłopak. Twarz dziwnie stara, cera ziemista.

Ojciec i macocha oskarżają go o kradzież 100 złotych. Wydałam oskarżycieli z sali. Badam samo dziecko.

— Ile masz lat?

— Jedenaście.

— Chodzisz do szkoły?

— Tak, do drugiego oddziału.

— Jak się uczysz?
 — Żle.
 — Dlaczego?
 — Bo nic nie mam, ani książek, ani kajetów, ani nic. Wszystkiego muszę pożyczać. Nie mam z czego się uczyć.
 — A jak tam było z temi pieniędzmi? Wziąłeś je?
 — Tak.
 — Dlaczego? Co z nimi zrobiłeś?
 — Wydałem na jedzenie i książki. Zapłaciłem w szkole za mleko, a resztę to mi ukradł kolega.
 — Ileż razy dają ci dziennie jeść w domu?
 — Jeden raz daje mi macocha jedzenie.
 — Kiedy?
 — Po południu o 5-ej jest obiad, to dostaję zupę z chlebem.
 — A rano?
 — Rano idę do szkoły bez śniadania. A jak tyl-

ko co ruszę z szafy, to mnie bije. I teraz też mnie tak zbiła.

Twarz chłopca wykrzywia się boleśnie. Przyglądam się dziecku uważnie.

— Co ci jest mały? Czyś ty nie chory?

Chłopak slania się... Mdleje, padając na ręce kuratora sądowego.

Rozsuwamy ubranie. Pod kurtką i grubą koszulą powłoka ciała granatowo-siwa, przekrwione żyły... strupy od ran...

Zarządzam przerwę.

Na otomanie w moim gabinecie leży mały męczennik życia. Członek Ligi obrony praw żołądka... Oskarżony o przestępstwo kradzieży...

Dzieciak otwiera oczy poważne i smutne. Na blade policzki pada nań przez okno promień słońca... Słońca, które tak jest potrzebne wszystkim dzieciom, a którego mają tak mało.

FELICJA KRUSZEWSKA

2)

LIST DO KRAJU CZYLI NIEUDANA MISTYFIKACJA

Mój Boże! Są na świecie szmaragdy i jest malachit, pomysłowość ludzka zdobyła się na nazwę seledyn, w świecie mód przybývają wciąż nowe nazwy odcieni, a o trawie i liściach mówi się wciąż tylko po prostu—zielone. I jest w tem słowie razem zapach i wilgotne dotknięcie, ale to mało. Bo zielone i zielone, ale co tu powiedzieć o tych ogromnych, jedynych, najzieleńszych chyba na świecie łąkach, o tysiącach przeróżnych krzewów i ostrokrzewów (wszystkie, oczywiście „zielone“!), o topolach, o klonach, o jaworach, pod któremi niejeden dziś Filon angielski czeka swej Laury. (Filon ma dla kontrastu czerwoną, jak mak, kurtkę królewskiego gwardzisty i zalotną trzcinkę w ręku — dziś niedziela.) Jeden tylko Thomson (Anglik, oczywiście!) powiedział w swoich „Porach roku“ coś bardzo do sensu i do głębi przejmującego o zieleni, ale tego w tej chwili, jak wielu innych rzeczy, nie pamiętam.

Olbrzymie drzewa (ciemne, ciemne) stanęły w oddali na końcu łąki. Zawsze, przy najpiękniejszej nawet pogodzie, oplątuje się dokoła ich wierzchołków leciutka mgielka. Mgielka jest błękitna. Łakę, przez którą idę, pokryło stado leżących... nie, nie baranów (białe beczące baranki są pewno teraz po drugiej stronie Serpentyń w Kensington Gardens) — ludzi. Leżą rodzinami, parami i pojedynczo z tej pewno dobrej racji, że jest niedziela i że jest czerwiec, a więc lato. Podobno jednak potrafią robić to i w lutym. Dziwię

się, wierzę i marznę. Gentleman w kraciastej czapce, czerwonym fontaziu i poprostu rozpiętej kurtce na koszuli sportowej mierzy mnie z ziemi przyjaznem okiem. Stanowczo (i słusznie!) nie uważa mnie za „clever lady“, raczej, omylony moim uśmiechem, bierze mnie (niesłusznie) za całkiem wesolutką lady. — Przyjemnego spaceru — woła uprzejmie — co za piękna pogoda! — O yes! — odpowiadam i szcękam zębami.

Idę na prawo długą, jakby wiejską międzyląkową drogą na plac mówców mydlanych. Nazywają się tak dlatego, że za postumenty, z których ciskają wszelkie recepty na zbawienie świata, służą im często własnoręcznie przynoszone skrzynie. Podobno skrzynie od mydła. (Pięknie to świadczy o czystości Anglii taka obfitość opróżnionych skrzyń). Przemówienia odbywają się w dniu świąteczne od poranku do zachodu słońca w kilkunastu miejscach jednocześnie, bez względu na pogodę i liczbę słuchaczy. Tematy są podniosłe: „Świat a pokój“, „Wieczny pokój“, „Jedyna droga do szczęśliwości“, „Królestwo Boże na ziemi“ i t. d., i t. d.

Zaraz na wstępie zażywna i purpurowa na twarzy lady dowodzi potężnym głosem niezaprzeczonej wyższości kościoła katolickiego nad kościołem anglikańskim. Naprzeciw młody prorok, o bujnej, kruczej czuprynie, podskakuje radośnie na mównicy, potrząsając biblją nad głową. — Bracia! Oto jest najdroższa

dla mnie książka! — Daleś za nią 6 pensów! — odpowiada mu zpośród audytorjum jegomość o muskułach boksera z przetrąconym nosem. — Bracia! Biblia współdziała z historją — woła prorok i podskakuje coraz wyżej. — Chwała niech będzie Bogu! — Chwała tobie! — odkrzykuje cały chór za przewodnictwem boksera, podskakując również.

Ze wszystkich zresztą stron dochodzą okrzyki, śmiechy i urywki przemówień. O parę kroków przedemną przystanęła grupka Przyjaciół, miłujących świat i ludzi. Jakaś kobiecina, kształtów doskonale kulistych, osobnik z twarzą bandyty, wysmukły, długowłosy młodzieniec i siwy, jak gołąb, staruszek. Staruszek ukląkł na ziemi, gdzie warstwa kurzu sięga chyba kostek, tuli do piersi jakąś księgę i modli się na głos. — Boże! daj szczęście wzajemnej miłości wszystkim ludziom biednym i bogatym, złym i dobrym, tym, którzy wiedzą, i tym niewiedzącym. — Alleluja! Alleluja! — wtóruje basem bandyta. — Zachowaj przy życiu i w zdrowiu łaskawie panującego nam króla — Hosanna! Hosanna! — I księcia Walji...

Najprawdziwsze łzy spływają po ascetycznej twarzy i łączą się z kroplami, zawisłymi na końcu długiego nosa.



Posązek Piotrusia Pana w Kensington Gardens w Londynie.

— A teraz posłuchajcie, bracia, jakiego szczęścia doznała siostra nasza, która...

Tłuściutka babinka wysuwa się na środek:

— Drodzy moi!

Tu powstaje malutka dywersja. Jakiś zadziwisty młodzieniec chce sobie skrócić drogę, przeciskając się pod płotem przez stadko Przyjaciół, miłujących świat i ludzi. Melancholijny cherubinek staje przed nim, jak słup.

— Nie możesz to obejść dookoła?

I tak od słowa do słowa, a każde coraz mniej miłujące. Leciutka konsternacja. „Bandyta“ ratuje sytuację. Prostu zaczyna śpiewać. Babinka i staruszek podchwytyją hymn w jednej chwili i radosno „Alleluja!“ zagłusza słowa sprzeczki.

Boże! że też ostala się legenda o zimnej krwi, trzeźwości i sztywności anglików!

Na dzisiaj dość mydlanych proroków. Teraz można pójść zobaczyć króliki, fikające kozły na (szmaragdowym?) falującym, spływającym z górki trawniku, tam właśnie, gdzie się chwieje jakieś strzępiaste, zielone dziwo, a z boku zaległa cała nieprzebyta puszcza czerwono-liljowych ulanek. Trzeba przecie stanąć, przetrzeć oczy i zrozumieć, że ten zastęp olbrzymów, ruszających kitami, to jednak tylko końskie szczawie, a ogromne, koronkowe białe parasole — to prosto zwykle jakieś baldaszki.

Serpentyna marszczy się, migoce i błyska w słońcu (bo jest już i słońce — one can never tek) i pokryta jest cała śladami śmigających łodzi. Jakże pachną krzewy i ostrokrzewy. — Kiedyś może szedł sobie taką zieloną aleją przez Hyde Park pochylony długowłosy staruszek pan Niemcewicz (i wspominał sobie Ursynów w ogromnym Londynie) i choć to była także niedziela, śpieszył do cichej stacji do swoich notat, wypisów i pamiętników — bo, choć nie miał już nadziei nieszczęsnej ojczyzny oglądać, to przecie czasu na rozpacz próżną nie tracił i uczył się pilnie, nad grobem stojąc, żeby coś z mądrości obcego kraju swoim rodakom na przyszłe życie przekazać...

Ach, pożegnajmy pięknie niestrudzonego pana Niemcewicza, nie przejdzie przecie aleją, nie spojrzy badawczo z pod siwych brwi. Chodźmy lepiej za Serpentyne, odwiedzić w Kensington Gardens małego Piotrusia. Zobaczmy, jak to stoi w koszulinie, kędzierzawą główeczkę w słońcu zanurza i gra na czarodziejskiej fujarce niesłyszana przez nikogo piosneckę. A dokoła elfy, stworki, zwierzęta — i trzy szki-cownikowie — i ze cztery wyszczerzone do snapshotu aparaty.

Piotrusiu! Piotrusiu Panie! Gdyby to można, gdyby to można, jak ty! Zagubić się — ot, choćby w liściach, w trawie, w pluskającej wodzie (i może nie tu, w Londynie, może aż na Podolu) i nie wrócić już, chyba, jak ty, na chwilę, żeby zobaczyć swoje miejsce zajęte, Piotrusiu Panie, który nie wiesz, co znaczy: nie udźwignę — Piotrusiu, który nigdy już

nie dorosisz, gdyby to można, jak ty, nic nie wiedzieć — że tak właśnie nie można. I więcej — że tak nie wolno).

Wyjść z parku można byle którą bramą (w pobliżu każdej czyha gotowa do połknięcia czarna paszcza Undergroundu). Los wyprowadził mnie jedną z nich i los wiedział, co czyni. Tuż za bramą bowiem wetknięto mi w rękę kartkę. Wzięłam ją, jakgdyby nigdy nic, ot, nasze warszawskie „na raty”. Przeczytawszy ją już w kolejce, zdębiałam. Stało tam, ni mniej, ni więcej, granatowo na białym, że: Joanna Southcott, prorokini, pozostawiła po sobie natchnione pismo, testament Boga, w którym to testamencie Bóg objawia swoje zamiary względem Anglii oraz podaje sposoby na usunięcie wszelakiego zła. Testament (ze skrzynią, wizerunek na tejże kartce) waży 156 funtów i znajduje się pod opieką 24 biskupów. Niestety (jak głosi kartka), biskupi owi przez jakąś niezrozumiałą złośliwość nie chcą otworzyć skrzyni i podzielić się ze światem zawartością testamentu. Zdałoby się, że póki jakieś nadzwyczajne a groźne okoliczności (mój Boże! i wojny było im nie dosyć!) nie zmuszą złośliwych biskupów do spełnienia ich obowiązku, sprawa jest beznadziejna. Tak źle jednak nie jest, bo oto niejaki Panaceum Society, będąc w posiadaniu jednej z tajemnic testamentu, zupełnie bezinteresownie podejmuje się śpieszyć z pomocą swoim bliźnim. Panaceum? Ha! A może — a gdyby? Adres w każdym razie zanotowałam.

Underground wyrzucił mnie, zlekka odurzona, w objęciu Siedmiu Siostrzyczek, stojących na granicy krainy ciszy, małych domków i kwiatowych ogródków. Jeszcze, na szczęście, nie koniec niedzieli. Jeszcze można z książką na wielkim pod oknem fotelu nabrać sił do spożycia (miły Boże! znowu!) baconu, baraniny i puddingu. A potem, po późnym niedzielnym obiedzie, będzie się można znowu wymknąć na Victoria Road, Florence Road i wszystkie inne zielone Roads. W górę i w dół, w górę i w dół. Zapalą się blade-żółte latarnie na wzgórzach, i lampy w oknach cichych, cudzych zamkniętych domków, i gwiazdy na nieczyjem niebie. Zaszleszczą wilgotne drzewa, rozpaczną się kaskady róż, łąny tytoni i maciejki. I trzeba będzie sobie, stojącej na jakiejś waziutkiej, zgubionej, prawie niebyłej ścieżynce, gładzącej ukradkiem przez płot szorstkie listeczki fasoli, trzeba będzie sobie powiedzieć, że to także jest Londyn i że to jest tylko Londyn. Bo kiedy się zacznie wreszcie z jakiegoś tam, niewiadomo już, którego wzgórzka schodzić, to będzie zupełnie tak, jakby się schodziło w zachwycie na dno wielkiego fiołkowego powoju.

Post scriptum.

Mr Bluszcz! Dear Mr Bluszcz! Proszę mi przebaczyć to małe kłamstwo. Przekwitły już oddawna ogromne, fiołkowe powoje. I nie zamkną mi się może już nigdy nad głową błękitne ściany kielicha zachwy-

tu. Zamknęły mnie cztery niebieskie ściany pokoju, który mi dał przypadkiem schronienie. Bo grudzień jest już, i wiatr za oknem (pokłóciłam się już chyba nazawsze z wiatrem pytającym). I nie Londyn to, ale Warszawa (tylko przestąpić próg mieszkania i wyjść — cóż, kiedy wrócić już do niej nie sposób).

Tak oto wydało się kłamstwo. Ale czyż kłamię tak już najgorzej, Mr Bluszcz? Przecież musiałam się tego nauczyć — ot, choćby nawet w Anglii, gdzie na tyle uprzejmych powiedzeń: — ach, wraca pani do domu (Home, sweet Home...), jakże bardzo musi pani się cieszyć — trzeba było... no, trzeba było uśmiechać się i odpowiadać: oh yes.

Warszawa, grudzień 1929.

JAK UCZCIĆ NAJWIĘKSZĄ UCZONĄ POLKĘ?

Jedno z największych odkryć w świecie nauki przypadło na chwałę Polski, polka bowiem go dokonała.

Słuszne jest porównanie w tym wypadku Curie-Skłodowskiej z Kopernikiem. Obie genialne teorie, potwierdzone doświadczeniem, dotyczą budowy wszechświata, na jej dwóch przeciwstawnych krańcach: makrokosmosu — olbrzymich ciał niebieskich, i mikrokosmosu — atomu. Oba odkrycia „ruszyły z posad” ziemię i wszechświat, przyczem, dzięki zasadzie rozkładalności pierwiastków, mogliśmy się przekonać, że świat nieskończonych drobin ulega tym samym prawom, którym ulegają wielkie ciała niebieskie. I tak, jak odkrycie Kopernika, poza swą zawrotną głębią filozoficzno - przyrodniczą, przyniosło ludzkości bezcenne zdobycze praktyczne, ta sama przyszłość otwiera się przed odkryciem naszej wielkiej rodaczki, gdyż rad i jego emanacje przyniosły już i przynosić będą coraz większe korzyści w różnorodnych dziedzinach.

Jedną z niezmiernie ważnych są właściwości lecznicze radu, środka, jak dziś, najskuteczniejszego w walce z plagą ludzkości — rakiem.

To też w czasie stosunkowo b. krótkim, lat kilkunastu, powstała już nowa metoda lecznicza — radoterapia — i we wszystkich krajach zaczęto organizować specjalne instytuty radowe, nazywając je imieniem genialnej wynalazczyni.

Wiemy wszyscy, że najgorętszym życzeniem Marji Skłodowskiej-Curie jest, aby w jej rodzimej Warszawie powstał jaknajprędzej instytut radowy. Życzenie to wyraziła już podczas pierwszej swej powojnie bytności w naszej stolicy, w 1921 r., mówiąc do przybyłych do niej delegatek stowarzyszeń kobiecych: „Jeśli chcecie istotnie dać mi dowód życzliwości i uznania, zajmijcie się utworzeniem w Warszawie

instytutu radowego. *Jest to zadanie Wasze*, gdyż dotychczasowe doświadczenie wskazuje, że *zrolaszcza u kobiet w wypadkach złośliwych nowotworów leczenie radem daje nieocenione usługi*.

Całe społeczeństwo wzięło do serca słowa swej wielkiej rodaczki, zawiązał się Komitet Daru Narodowego dla Marji Skłodowskiej-Curie i rozpoczęto budowę instytutu. Na placu, ofiarowanym przez uniwersytet warszawski, przy ul. Wawelskiej, wzniesiono już wszystkie potrzebne budynki: lecznicę, pawilon dla Röntgenoterapii (ufundowany przez Bank Polski), pawilon dla pracowni naukowych i pawilon radu. Hojny dar kobiet amerykańskich, suma 50 tysięcy dolarów, ofiarowana Curie-Skłodowskiej podczas jej tegorocznego pobytu w Stanach Zjednoczonych, przeznaczona została przez uczoną na zakup radu, potrzebnego dla warszawskiego instytutu. Brak teraz jedynie urządzeń wewnętrznych pawilonów, aparatów Röntgena, mebli i urządzenia małego, dwupokojowego mieszkania dla Marji Skłodowskiej-Curie, która zamierza przyjeżdżać co pewien czas, pracować w Instytucie. Koszt tego wszystkiego wyniesie 900 tysięcy złotych. Czyż to suma zbyt wielka dla 30 miljonowego narodu? Wszystkie kraje cywilizowane wyprzedziły nas już na tej drodze, wszędzie już są instytuty radowe. Nie może więc zabraknąć tej, doniosłego znaczenia naukowego i społecznego, lecznicy w rodzimym kraju wielkiej wynalazczyni.

Komitet Daru Narodowego nie szczędzi wysiłków i w ciągu lat kilku dokonał już bardzo wiele. Dziś całe społeczeństwo powinno odpowiedzieć na jego wezwanie, czas już najwyższy. Na jednym z ostatnich posiedzeń Komitetu, na które przybyły zaproszone delegatki wszystkich stowarzyszeń kobiecych, nakreślono program pracy dla tychże stowarzyszeń: w myśl jego, każde większe zrzeszenie winno złożyć udział — 1000 zł., lub przynajmniej cegiełkę — 100 zł. Każde bowiem stowarzyszenie polskie powinno móc być wpisane w ścianach gmachu, pozatem każda poszczególne członkini winna złożyć jednorazową ofiarę, według swej możliwości.

Nie jest to trudne. Pomyślmy, jak łatwo wydamy parę i kilka złotych na jakiś drobiazg, wydamy bezsprzecznie, pomimo narzekania na ciężkie czasy. Bo z chwilą, gdy każda z nas będzie uważała sobie za obowiązek i punkt honoru ofiarę na instytut, każde stowarzyszenie zbierze napewno pokaźną sumę. Ofiary te mogą być drobne: nie chodzi o to, aby tylko kilka instytucyj, lub kilkanaście osób dało wiele — chodzi o to, aby *dali wszyscy*. Poza temi drobnymi, choćby jednozłotowymi, ale *powszechnymi* od *każdego* datkami, starać się winny stowarzyszenia kobiece o urządzenie większych imprez dochodowych i uzyskiwanie darów od instytucyj i zamożnych osób prywatnych.

Na akcję powyższą przeznaczony jest miesiąc

styczeń 1930 roku. W czasie zabaw karnawałowych, przy których tak wiele wydaje się na przyjęcia i tualety, ściągajmy od każdej zabawy procent na instytut, procent nawet skromny — utworzy on z pewnością poważną sumę.

Kobiety polskie muszą dokończyć budowy instytutu radowego w Warszawie: chodzi o spełnienie życzenia najgenialniejszej polki, która pozostała wierną córką swej ojczyzny, chodzi o honor nasz wobec świata, o dobro polskiego społeczeństwa i ludzkości.

N. J.

ODEZWA

Komitetu Organizacyj Kobiecych, Zjednoczonych dla wykończenia Instytutu Radowego Im. Marji Skłodowskiej-Curie DO POLSKIEGO SPOŁECZEŃSTWA

Czyż jest w Polsce serce, nieprzepelnione dumą i miłością na dźwięk *imienia Marji Skłodowskiej-Curie*?

Czyż jest na świecie kobieta, obdarzona tak, jak Ona, holdami i zaszczytami przez wszystkie cywilizowane narody?

Marja Skłodowska-Curie jest dwukrotną laureatką nagrody Nobla, członkiem honorowym niezliczonych Instytucyj Naukowych. Jej imieniem nazywają powstające w Stanach Zjednoczonych i w Londynie Instytuty Chemiczne i Radowe. Ameryka poraż drugi już składa w Jej ręce dar grama radu, tym razem — na Jej życzenie — dla Warszawy. Francja ofiarowuje Jej dożywotnią rentę, czcząc Ją, jako Wielką francuską uczoną!

A my — rodacy Marji Skłodowskiej-Curie — co zrobiliśmy dotąd dla Niej? Czem staramy się przekonać świat, gdzie jest prawdziwa Ojczyzna Wielkiej Uczzonej? Skąd jest rodem Ta, której myśl genialna taki przewrót w nauce wywołała, Ta, która przyniosła ludzkości w darze jedno z największych odkryć doby współczesnej, tak doniosłe dla sprawy zwalczania raka? Niestety, dotąd bardzo mało...

Wiemy, jak gorąco Wielka nasza Rodaczka pragnie, aby powstał Instytut Radowy w Warszawie — w tem drogiem Jej sercu mieście, gdzie przed laty ujrzała światło dzienne...

Ona sama 8 lat temu rzuciła hasło stworzenia Instytutu Radowego w Warszawie, sama teraz zdobyła dlań w Ameryce 1 gram radu! A jednak Instytut ten nie jest dotąd gotów... Budowa ciągnie się już lat 5, a dla wykończenia go brak jeszcze 900.000 złotych...

Tak dłużej być nie może! Honor Polski na to nie pozwala!

My — kobiety polskie — zrzeszone w *Komitet Organizacyj Kobiecych, zjednoczonych dla wykończenia Instytutu Radowego im. Marji Skłodowskiej-Curie* — uważamy za nasz obowiązek spełnienie gorącego życzenia Wielkiej Uczzonej i rozpoczynamy pracę w tym kierunku.

Wzywamy całe Polskie Społeczeństwo do współdziałania! Niech wszyscy staną do apelu! Niech każdy pośpieszy z większą lub mniejszą ofiarą w miarę swej możliwości, lecz niech się nikt od tego obowiązku nie uchyla! Narodom, składającym holdy i dary Wielkiej Polce, niech Polska dorówna!

PROTEKTORAT:

Michalina Mościcka i Aleksandra Piłsudska.

Przewodniczące honorowe: Kazimierzowa Świtalska, Ignacowa Boernerowa, Stanisławowa Carowa, Sławomirowa Czerwińska, Alfonsowa Kühnowa, Eugenjuszowa Kwiatkowska, Ignacowa Matuszewska, Jędrzejowa Moraczewska, Karolowa Niezabytowska, Aleksandrowa Prystorowa, Felicjanowa Składkowska, Witoldowa Staniewiczowa, Augustowa Zaleska.

Zrzeszenia: Rada Narodowa Polek, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, Katolicki Związek Polek, Narodowa Organizacja Kobiet, Koło Pań przy Komitecie zwalczania raka, Stow. Zjednoczonych Ziemianek, Warsz. Chrześc. Towarzystwo Ochro-

ny Kobiet, Klub polityczny Kobiet Postępowych, Zrzeszenie Lekarek Polskich, Polskie Stow. Kobiet z wyższym wykształceniem, Koło Polek, Rodzina Wojskowa, Rodzina Policyjna, Nasz Dom, Koło Pań przy Klubie lekarzy, Koło Mieszczanek, Zw. Klubów Kobiet Pracujących, Zw. Kobiet pracujących w handlu i biurowości, Koło Przełożonych Szkół Średnich żeńskich, Zw. Akademiczek, Koło Pracy Kobiet, Koło Młodych Ziemianek, Polskie Stow. Młodych Kobiet, Polska Liga Kobiet Pokoju i Wolności, Fidae (Sekcja żeńska), Liga Kobiet, „Dźwignia“ Chrześc. Zw. Rękodzielniczy, Warsz. Klub Wioślarek, Komitet Pań-Opiekunek Zboru Ewang. Augsburg., Organizacja Przystosowania Kobiet do obrony kraju, „Osiedle“, Zw. Strzelecki (Oddział żeński), Zw. Telefonistek, Zw. Harcererek, Korpus Sióstr Polskiego Czerwonego Krzyża, Polskie Stow. Pielęgniarek Zawodowych, Koło Kuźniczanek, Zw. Hallerczyków (Placówka żeńska), Koło b. Wychowanek Szkoły J. Sikorskiej, Koło b. Wychowanek Szkoły A. Walickiej, Koło b. Wychowanek Szkoły H. Gepnerówny, Koło b. Wychowanek Szkoły J. Kowalczykówny i J. Jawurkówny.

Siedziba Komitetu: Gmach Instytutu Radowego: Wawelska 5. Od g. 9—15, tel. 557-58. Sekretariat przyjmuje zgłoszenia, udziela informacji i druków.

Ofiary przyjmują: Kurjer Warszawski, Biuro Komitetu oraz P. K. O. konto 9555.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

AKADEMJA Z OKAZJI 10-LECIA MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU POMOCY DZIECIOM.

W sali Tow. Higjennego przy ul. Karowej odbyła się zorganizowana z inicjatywy Polskiego Komitetu Opieki nad Dzieckiem, przy współdziałaniu Towarzystwa Higjennego i Towarzystwa Pedjatrycznego, uroczysta akademja, poświęcona 10-leciu pracy na terenie międzynarodowym organizacji i opieki nad dzieckiem — „Union Internationale de Secours aux Enfants“. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele Rządu, samorządów, prasy, organizacji społecznych i licznie zgromadzona publiczność. Po zagajeniu zebrania przez Prezesa Komitetu Opieki nad Dzieckiem, p. Prof. Michałowicza, obecni z zainteresowaniem wysłuchali historii powstania Komitetu oraz jego działalności w okresie 10-lecia, przedstawionych przez p. dr. M. Gromskiego, poczem naczelnik Wydziału Opieki nad Dzieckiem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, p. Br. Krakowski, w interesującym i przejrzyście ujętym referacie zobrazował działalność Państwa Polskiego w zakresie opieki nad dziećmi.

Na zakończenie zgromadzony na galerji chór uczennic 172 szkoły powszechnej odśpiewał szereg piosenek, kończąc je hymnem narodowym. W międzyczasie zostały zredagowane depesze gratulacyjne do Genewy — siedziska „Union“.

JAK PROWADZIĆ NOWOCZESNE GOSPODARSTWO

Trzeba iść z postępem czasu, zwłaszcza w tych dziedzinach, w których ludzkość wspólnym wysiłkiem kultury współczesnej podniosła prawdziwy dobrobyt i wyzwoliła człowieka z niejednego, dawniej koniecznego, zła.

Takiem koniecznym złem było dawniej gospodarstwo domowe. Dziś przestało ono już być zawodem „brudnym“, a rozwijając się w prawdziwą wiedzę, podniosło znaczenie kobiety w rodzinie i w życiu publicznym. Chociaż kobieta zdobywa dziś coraz szersze pole działania, stając równouprawnioną obok mężczyzny prawie we wszystkich zawodach, to przecież gospodarstwo domowe skorzystało z tego uprawnienia najbardziej. Niema w handlu i przemyśle lub technice wynalazku czy postępu materialnego, którego, dzięki wpływowi oświeconych kobiet, nie zastosowanoby również w gospodarstwie domowym. Wystarczy wskazać na rozwój nie do uwierzenia, jaki wykazuje gospodarstwo domowe w Ameryce, dzięki zastosowaniu

elektryczności, prawie przy każdej czynności gospodarskiej i dzięki wysokiemu poziomowi szkolnictwa gospodarstwa domowego.

U nas w Polsce stoimy w tej dziedzinie niemal na stopniu elementarnym. Ale i to jest już wielkim postępem, że młode pokolenia dorastających przyszłych gospodyń i matek zaczynają rozumieć, że gospodarstwa domowego trzeba się nauczyć, że przekazywanie „wiedzy kuchennej“ z matki na córkę dziś już nie wystarczy, lecz trzeba iść z postępem czasu, którego skutki są błogosławione w tym kierunku. I dziś można dojść przez kuchnię do szczęścia, ale trzeba się tego bezwzględnie nauczyć, a uczyć się nigdy nie jest zapóźno.

Dzięki inicjatywie rządowej i prywatnej, rozwija się myśl nowoczesnego ułatwienia pracy w szerokich sferach pań i gospodyń i wszędzie organizują się, zwłaszcza w obecnej porze zimowej, wieczorne kursy dokształcające gospodarstwa domowego, które w krótkim czasie pozwalają zapoznać się, zarówno samodzielnym paniom domu, jak i zawodowym gospodyniom z nowoczesnymi metodami gospodarowania.

Najłatwiej zilustruje to program 10-dniowego kursu „Ułatwienia pracy domowej“, zorganizowanego staraniem Szkoły Gospodarczo-Zawodowej w Poznaniu (ul. św. Marcina 69), oddzielnego dla pań, a oddzielnego dla gospodyń i służących, dziennego lub wieczornego, obejmującego w 5 godzinnych praktycznych lekcjach wszystko to, czego nowoczesna kuchnia, wraz z potrzebami ogólnego wykształcenia gospodarstwa domowego, wymaga. Ramy tego 10-dniowego kursu wypełnia 5 działów: jeden ogólnokształcący i cztery czysto praktyczne. W pierwszym dziale obznajamiają się słuchaczki z gospodarstwem domowym, jako zawodem i wiedzą, dowiadują się o jego związku z gospodarką krajową i rynkami światowymi i o technice i wynalazkach na usługach kuchni. Reszta działów obejmuje: racjonalne odżywianie, towaroznawstwo, gotowanie, pieczenie, pranie, wywabianie plam, sprzątanie, ścieranie kurzu, czyszczenie mebli, dywanów i ubrań, obchodzenie się z dywanami i pościelą, konserwacja futer i odzieży, tępienie robactwa, wzorowe urządzenie wnętrza domu (stołowni, kuchni), wykwinne przyjęcia, nakrycie stołu i podawanie.

Jak widać zatem, krąg wiadomości gospodarskich, mimo swej obszerności, w sobie zamknięty i wybitnie praktyczny, a tak przystępny dla każdej, nawet najuboższej gospodyni (25 zł.), że nie można chyba wątpić, iż inicjatywa ta spotka się z ogólnym uznaniem.

ALBO PRAWA I PIENIĄDZE — ALBO NIE PŁACIMY.

Francuzi mają świetne pomysły sceniczne, bajecznie efektowne „coups de théâtre“, które zapewniają powodzenie sztukom francuskim na całym świecie. Pomysły takie stosują też niejednokrotnie i w polityce. Fakt tego rodzaju zaszedł właśnie w tych dniach.

Deputowany socjalistyczny Bracque zgłosił do ustawy finansowej wniosek, aby kobiety francuskie nie płaciły podatków. Znalazł się i drugi poseł p. Auriel, który na wielkim wiecu, zwołanym przez Radę Narodową kobiet francuskich, oświadczył, że wniosek ten będzie popierać i że parlament go przyjmie.

Istotnie, zasadą prawną każdej konstytucji nowoczesnej jest, że obywatel, płacący podatki, korzysta z praw wyborczych i z prawa kontroli nad tem, na co pieniądze, przezeń wnoszone, są wydawane. Francuzki tych praw nie mają. Wobec tego istnieją wszelkie podstawy prawne, aby podatki nie płaciły.

Wniosek ten jest jednym z lepszych pomysłów walki o równouprawnienie polityczne kobiet we Francji. Motywów do odrzucenia, zwłaszcza tak miłych sercu każdego prawnika, motywów prawnych, nie będzie. Trudno zaś przypuścić, aby skarb francuski zrezygnował z dobrych *paru* milionów, wpływających corocznie od kobiet-płatniczek. A przytem, co za efekt w opinji publicznej!

Wobec tego francuzki może nareszcie zostaną równouprawnione.

Premje dla stałych Prenumeratorek

Każda z pań, która do dnia
1-go lutego 1930 r.

wpłaci wprost do naszej
Administracji
półroczną prenumeratę

„BLUSZCZU“

otrzyma bezpłatną
premję

do wyboru, a mianowicie:

1) 6 modnych chusteczek, ozdobionych haftem, każda inna, jedna z nich zaczęta, do innych dołączone potrzebne dodatki.

Chusteczki wykonane są ze ślicznego opalu krajowego, wyrobu jednej z najstarszych w Polsce fabryk *Tow. Schlösserowskiej przędzalni bawełny i tkalni w Ozorkowie, która egzystuje od 1807 r.*

albo

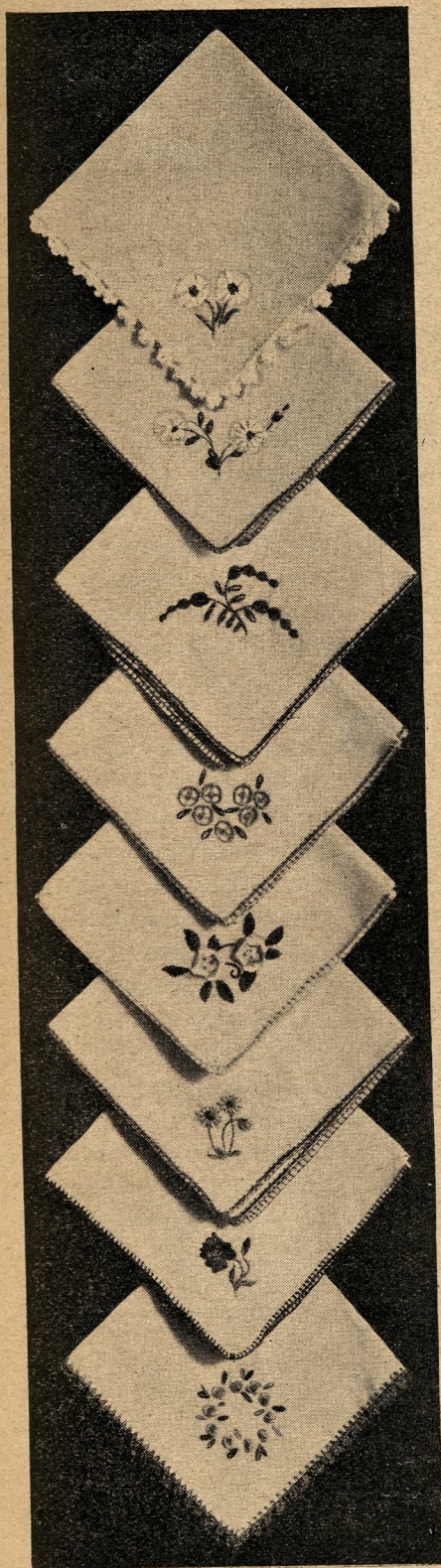
2) duży flakon doskonałej wody kolońskiej

lub

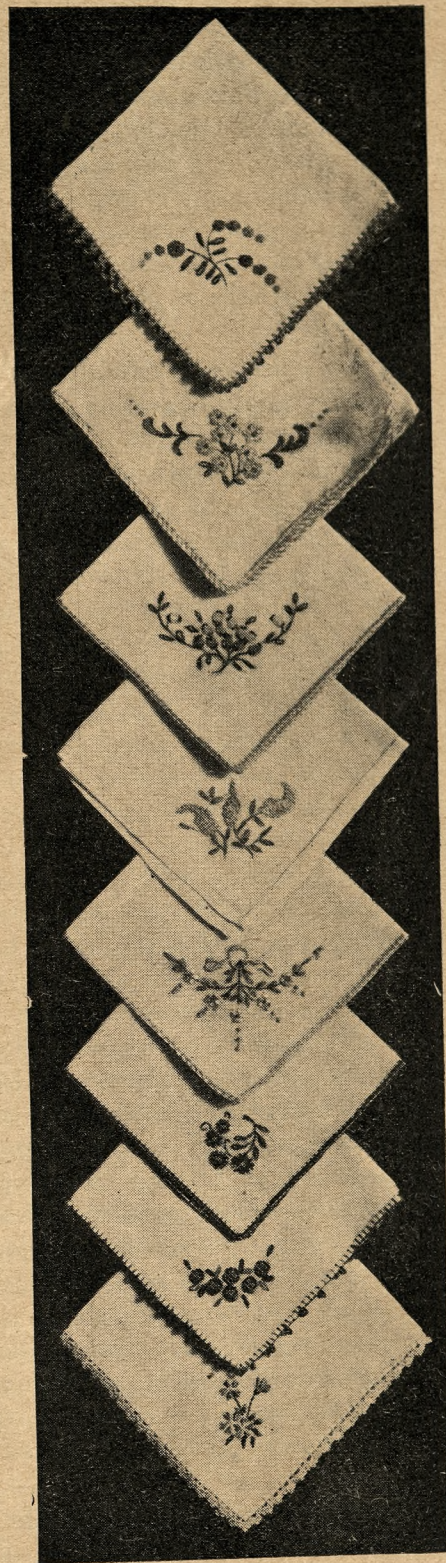
3) pudełko mydeł toaletowych znanej ze swych wyrobów firmy *Fr. Puls w Warszawie.*

Niezależnie od tych premij, każda **pięćdziesiąta, setna, sto pięćdziesiąta itd.** prenumeratorka z pomiędzy wpłacających roczną prenumeratę **otrzyma bezpłatnie** znakomitą książkę kucharską, zawierającą przeszło 3000 przepisów kuchennych i gospodarskich p. t.

„DOSKONAŁA KUCHNIA“



Chusteczki, które dajemy jako premje



Chusteczki, które dajemy jako premje

NARADY ZIEMIANEK

Zgodnie z trzydziestoletnią tradycją, odbywają się co roku w czerwcu i w grudniu Walne Zjazdy Ziemianek, poprzedzone naradami delegatek, tworzących Komitet Stowarzyszenia. Narady czerwcowe mają charakter sprawozdawczy, grudniowe zaś mają za cel uchwalenie projektów, dążących do udoskonalenia i wzmoczenia działalności.

W tym roku wielkim ciosem dla stowarzyszenia była nieobecność przewodniczącej p. Czarnowskiej, którą poważna i uporczywa choroba od miesiąca już oderwała od pracy. Zastępowała ją p. Glinczyzna, mając do pomocy pp. Czetwertyńską i Rogowską, ale obrady ucierpiały z powodu braku wyrobionej siły kierowniczej.

Do wygłoszenia referatów powołane były młode siły; tematy miały charakter ekonomiczny, a to w celu skierowania pracy ziemianek na tory fachowe, związane ze sprawą podniesienia wydajności gospodarstw kobiecych i lepszej organizacji domu; ten ostatni przedmiot, który od niedawna wzbudza i w Warszawie wśród pań z inteligencji coraz większe zainteresowanie, tembardziej na wsi jest aktualny.

P. Wilamowska referowała projekt organizacji praktyk gospodarczych zarówno w zakresie całości kształtu pracy, jak i poszczególnych jej działów. Wszystkie ziemianki zdają sobie sprawę z tego, że dobra praktyka jest nadwyraz cennym dopełnieniem szkolnego przygotowania gospodarczego. Przykład niemieckie, które tak świetnie rozwiązały u siebie zagadnienie praktyk (mają 670 egzaminowanych gospodyń, uprawnionych do przyjmowania praktykantek, z którymi zawierają pod egidą Izby Rolniczej dwuletnie obowiązkowe kontrakty), zachęca i nas do ujęcia praktyk w karby organizacyjne.

P. Wilamowska wysunęła trojaki charakter korzyści, jakie przyniesie rozwój praktyki: 1) Dla ziemianki, przyjmującej praktykantki, ogromna pobudka do udoskonalenia gospodarstwa, do krytycznego rozpatrzenia jego stanu i braków, a w wyniku dążenie do podniesienia poziomu. Pozyskanie inteligentnej pomocnicy, posiadającej teoretyczne wiadomości, której nieraz brak praktykodawczyni, a więc dopełnianie się wzajemne przez obie strony. 2) Dla praktykantek — możliwość wypróbowania swych sił i nabycia praktycznej biegłości pod doświadczonego kierunkiem. 3) Dla Państwa — pomnożenie placówek, dopełniających wiedzę gospodarczą, bez żadnego nakładu pieniężnego.

Projekt regulaminu obejmuje minimum warunków kulturalnych, zawodowych i osobistych, których musimy wymagać od osób, pragnących przyjmować praktykantki; stosunek wzajemny, co do godzin i rodzaju pracy, wynagrodzenia; kategorie praktyk, czas ich trwania etc.

Celem wprowadzenia projektu w życie, zapadła uchwała rozesłania do Kółek Ziemianek ankiety, na której podstawie możnaby dokonać rejestracji gospodarstw, nadających się do przyjmowania praktykantek, i utworzenia Sekcji praktyk przy Radzie Najwyższej gospodarczego wykształcenia kobiet, a następnie w Izbach Rolniczych.

Następny referat p. Dochówny, która niedawno ukończyła w Anglii studia nad hodowlą drobiu, miał jako temat: Przygotowanie tuczonego drobiu do handlu — i ujęty był bardzo rzeczowo i zwięźle.

Popołudnie tegoż dnia poświęcone było sprawie *współpracy w Kolach gospodyń*.

Referentką była p. Zdanowska, przewodnicząca Kół gospodyń, oddana im całą duszą, znakomita organizatorka i wybitna mówczyni.

Pani Z. stoi na tem stanowisku, że bez względu na pozyskanie coraz szerszych zastępów instruktorek, współpraca inteligencji wiejskiej w Okręgowych Towarzystwach Rolniczych jest niezbędną, bo pole pracy przy wielkim pragnieniu gospodyń wiejskich, aby szybko podnosić poziom kultury ich otoczenia i gospodarstw, nie da się opanować wyłącznie przez instruktorki, lecz wymaga pomocy społecznej. Zachęcała więc z wielkim naciskiem, aby panie wstępowały do O. T. R., uważając to, jako nakaz chwili.

Ogromnie rzeczowy i przekonujący był głos p. Walewskiej z Radomskiego, która wskazała na fałszywy stosunek wielu ziemianek do sprawy postępu gospodarczego. Narówni z ziemianami, którzy uważają Towarzystwo Rolnicze, jako teren fachowego podnoszenia rozmaitych działów ich pracy, i ziemianki winny się jednoczyć, w tym celu w O. T. R., które muszą być terenem pracy społecznej i zorganizowanych planowo działów wytwórczości gospodarczej.

Sprawa ta wywołała obszerną dyskusję, wznowioną następnego dnia przy głosowaniu uchwał; roznamiętnienie było niemałe i ucichło dopiero po przemówieniu prezesa C. T. O. i K. R., p. Fudakowskiego; ostatecznie zapadła uchwała powołania komisji, która opracowała program współpracy. Wybrano też komisję, mającą reprezentować Ziemianki w *Instituście Gospodarstwa Domowego*.

Referat p. Degen-Słórskiej o „Potrzebie reformy żeńskiego szkolnictwa” stanowił ostatni punkt programu.

Sprawa jest znana — ponieważ chodzi tu o postulaty zasadnicze rozszerzenia nauki gospodarstwa i życia domowego, więc znalazłoby się wiele zwolenniczek tego założenia, gdyby nie to, że wyprowadzono je z fałszywego końca, żądając ograniczenia programu szkolnictwa średniego dla kobiet — a to jest bezwzględnie niedopuszczalne.

Tegoroczny Zjazd Ziemianek był liczny i zajmujący, poruszano sprawy doniosłe i aktualne; z przyjemnością można było stwierdzić żywotność obrad, a w dyskusji momenty świeże i twórcze. M. K

TRUJĄCE PRZYSMAKI

(dok.).

A czyż nie pamiętacie, Czytelnicy, owej straszliwej epidemii samobójstw, jaka nawiedziła Warszawę w latach 1926 i 27?! Pleż artykułów w prasie, nawoływań do opamiętania, odezw Kościoła, przypominającego, że samobójstwo nie jest drogą do zbawienia duszy!

Nie pomogło nic, nic! Ludzie chadzali ulicą normalnie, porządek wzorowy, nigdzie nic, coby go ze zwyczajnego toru sprowadzić mogło!

Wtem ktoś, bez interesu i przyczyny widocznej, skręca w pobliską bramę i — strzela sobie w łeb...

Błyskawicznie przybyłe pogotowie opatruje dogorywającego.

Lecz jeszcze służba nie zdążyła wnieść go do wozu, gdy opodal, o kilkaset może kroków, nowy zgiełek, nowy tłum... Wypadł ktoś z okna, mózg zbryzgął ulicę!...

Pogotowia warszawskie pracowały wówczas gorąco i dni tych, ba! miesięcy długich, nie zapomną!

A teraz — niechże ci, po samobójcach owych pozostali, sięgną pamięcią wstecz i powiedzą, czy drodzy ich, co tak tragicznie zmarli, nie pałali łakomstwem na „trufle“? I, czy na całe miesiące przed śmiercią nie zdradzali dziwnego, a wzrastającego wciąż niepokoju i strachu przed wszystkim i — przed niczem?

Bo tęgoskór pospolity (*Scleroderma vulgare* Horn.) działa zabójczo a szybko tylko po użyciu go w większej ilości. Jadany, jako trufla, więc jako przyprawa, zatem w ilościach małych, a częściej, wywołuje czasem tylko nagłe omdlenia wkrótce po zjedzeniu, na czym się kończy... orjentacja zatrutego. Bo któżby zważał na jakiś tam chwilowy „katar“ kiszek, zjawiający się w parę tygodni po za-

Trufla letnia (polska). *Tuber aestivum* Will.

pomnianem już omdleniu! I znów dobrze! trawienie, apetyt w porządku i człowiek zdrowy, jak ryba!

Dziwna tylko rzecz z tym placem, z tą jezdnią, które trudno, ciężko jakoś przejść na drugą stronę! jakby się wtedy właśnie coś miało stać!... Nie, nie mogę przejść!... I, dziwna rzecz! we własnym pokoju jakoś mi tak głupio! Nie, nie pójdę do ciemnego pokoju za żadne skarby świata!... Spanie, to przecież głupia rzecz! A jakby się wtedy ze mną co stało, a ja śpię!... Nie, nie będę spał! obawiam się spać! Pójdę na ulicę, tam i nocą ludzie, ruch...

I idzie, biedak, na ulicę, ale strach wyszczerza doń sine zęby z każdego cienia, z każdego zakamarka...

Wreszcie, bojąc się, ze szcękaniem zębów, własnego „ja“, własnych kroków, własnej świadomej myśli, skręca w najbliższą bramę i rozsadza kulą przemęczony mózg...

Wielkopolska jednego artykułu prof. dra Wodniczki miała dość. Ale moje dwa „ostrzeżenia“, drukowane jesienią 1926 r. w „Kurjerze Warszawskim“, widocznie Warszawie, „Królestwu“, nie pomogły! Nie widać dziś wprawdzie, jak wówczas, setek i tysięcy nawet koszów, zapelnionych tęgoskórami, za Żelazną Bramą i na Koszykowej, ale wciąż jeszcze nadsyłają mi ludzie z Warszawy i okolic krajane w plasterki tęgoskóry z zapytaniem, czy to nie trufle!

I dziś, aż z Oliwy, przesyłka taka sama! Dołączony zaś do niej list brzmi: „Przed kilku tygodniami otrzymałam od rodziny z Warszawy (!) pół kilo grzybów-trufli do zaprawy. Ponieważ jednak wiem, że zbierający nie rządzą się przy zbieraniu dokładnym znanstwem, ile raczej czyjąś informacją, że to są prawdziwe „trufle“, zatem ośmielałam się niniejszem prosić prof. T., za pośrednictwem Redakcji „Bluszczu“, o informację“...

Lecz „informacji“ niech udziela załączone ilustracje. Tęgoskór pospolity wśród traw i ziela —

Tęgoskór pospolity. *Scleroderma vulgare* Horn.



Trufła zimowa (perigordska) *Tuber brumale* Witt

znaczy to, że jest on grzybem naziemnym; a przecież i dziecku niemal każdemu w Polsce wiadomo, że trufli poszukuje się we Francji, a ongiś poszukiwało się i w Polsce, przy pomocy umyślnie do tego tresowanych psów i świnek. A czyż trzeba by trudzić te zwierzęta wyszukiwaniem tęgoskórów, gdy je na powierzchni ziemi i ślepy namaca?!

Tęgoskór pospolity, mniej więcej wielkości i kształtu ziemniaka (stąd dawniej zwany purchawką ziemniaczaną), ma grubą skórę białą, o powierzchni szarawo-gliniastej, brodawkowanej lub popekanej; ośrodek zaś u młodych osobników zrazu biały, lecz szybko ciemniejący, wreszcie całkiem czarny, lub granatowo-czarny, zbity, jędrny, usiany jedynie drobnymi, białymi punkcikami, co czyni go podobnym do roztartego maku. Dojrzewając, zamienia się w proch, jak u każdej purchawki.

Trufła zimowa, francuska, ma cienką zewnętrzną skórę brodawkowaną, czarną; ośrodek ciemny, jędrny, wyraziście żyłkowany.

Trufła letnia, pojawiająca się i w Polsce, podobna bardzo z wierzchu do poprzedniej, różni się od niej tylko o wiele jaśniejszym ośrodkiem, nieraz prawie białym. I tu jednak przekrój wykazuje najwyraźniej żyłkowanie.

Obydwa owe gatunki trufli rosną w głębi ziemi, niejednokrotnie na metr i więcej, nigdy zaś na powierzchni, czem przedewszystkiem odróżnić się dadzą od tęgoskóra pospolitego, jedyne wśród grzybów purchawkowatych gatunku trującego!

Prof. Feliks Teodorowicz.

PRZYSTAWKI GORAĆE

(dok.)

Pasztet w naleśnikach tem się różni od takich samych pasztecików, że zapiekamy go w dużej formie i wyrzucamy na półmisek w kształcie dużej babki. Do tego rodzaju przystawki można podawać różne sosy, a głównie sos rumiany z kaparami lub cytryną i czysty sos pomidorowy.

Jeżeli, zamiast zapiekania jakiegobądź farszu w muszelkach, upieczemy go w uprzednio przygotowanych foremkach z kruchego ciasta, przystawki takie będą nosiły nazwę tartletek.

Jeżeli taki farsz mięsny lub rybny, farsz z raków, z sera, jarzyn lub grzybów zmieszamy z żółtkami i białkami, ubitemi na sztywną pianę, ułożymy w ogniotrwałą foremkę i przed samym obiadem upieczemy w piecu, otrzymamy suflet — wyborową przystawkę, na którą biesiadnicy powinni cierpliwie oczekiwać, gdyż ona czekać nie może. Podawać ją należy wprost z pieca: stygnąć, opada i traci nie tylko ładny wygląd, lecz i smak.

I jeszcze jeden użytek, jaki z każdego prawie farszu mięsnego czy rybnego, z ryżu, drobnej kaszki nawet kartofli zrobić możemy, — to są krokietki. Nie mogę tu, niestety, podawać poszczególnych przepisów, wszystkie jednak się robią z dodaniem jaj, aby masa mocno się trzymała, formuje się z niej kroiety: okrągłe, podłużne, jajowate — jakie się komu podoba — tarza naprzód w mące, następnie w rozbitym jajku, na koniec w tartej bułeczce, poczem natychmiast smaży, jak pączki, na fryturze lub szmalcu.

Tak dużo czasu udzieliłam tym wszystkim przystawkom z farszów, gdyż nadają się one specjalnie do zużytkowania wszystkich resztek. Nie będę dzisiaj wcale mówiła o omletach nadziewanych, jajach faszzerowanych, ani też o różnych przystawkach z grzybów świeżych i suszonych — byłby to temat tak obszerny, że nie mogłabym go zmieścić w ramach pogadanki — może kiedyś do niego wrócę, przy potrawach z jaj lub z grzybów.

Natomiast chcę obszerniej powiedzieć o grzankach i grzaneckach — najtańszych i najłatwiejszych dodatkach do zup. Niektóre z nich, podane po zupie, mogą wybornie zastąpić jakąś inną, znacznie kosztowniejszą przystawkę. Każda gospodyni zna drobne grzanecki, skropione masłem, posypane ostrym serem i zrumienione w piecu, używane, jako dodatek do grochówki, mocnego rosolu, buljonu grzybowego i innych zup. Pozatem bardzo rozpowszechnione są tak zwane djablotki. Większe grzanecki, posmarowane grubszą warstwą masła i sera, nieraz z dodatkiem siekanej szynki, pasztetu, sardynek i śmietany. Ładnie zrumienione, mogą one zastąpić paszteciki do każdej, najwykwintniejszej zupy i być podane w najlepszym obiedzie.

W dobrze prowadzonym domu nie się zmarnować nie powinno!

Książka p. t.

„Nie wyrzucaj odpadków“

uczy zużytkowania tego wszystkiego, co zwykle uważamy za bezwartościowe.

Cena 1 zł. 50 gr., z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszczy”, Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. 13.555.

Poza niemi jednak istnieje duża ilość różnych grzanek, podawanych, i jako samodzielne danie, przy drugim śniadaniu, kolacji, lub jako przekąska po wódce. Jedne z nich są mięsne, jak z mózdzkiem, z wątróbką, z pasztetem, z cynaderkami, z parówkami, z resztkami drobiu; inne z sardelami, ze śledziem, z rybą wędzoną, z grzybami, z pieczarkami, z resztkami ryb gotowanych. Niektóre z nich pokryte sosem lub posypane bułeczką z ostrym serem i zapieczone, inne przysmażone oddzielnie i pokryte dodatkami przed samem podaniem, jak grzanki ze śledziem, sardelami lub sardynkami, w połączeniu z jajami sadzonymi lub na twardo. Wogóle jaja we wszelkich postaciach grają dużą rolę przy przyrządzaniu grzanek, szczególnie jaja tak zwane w koszulce i jaja poszetowe.

Na zakończenie, nie mogąc tutaj podać wszystkich poszczególnych przepisów, przezemnie wspomnianych, dam jeden tylko, ale taki, który każda gospodyni na kilka przynajmniej rozmnożyć potrafi: powiem o zapiekaniu w muszelkach pod beszamelem.

Otóż na sześć muszelek (w braku ich, można użyć dużych tygielków, a nawet zapiec całą ilość w jednej, ogniotrwałej foremce) — otóż na sześć muszelek wziąć 25 deka jakiegokolwiek białego mięsa: cielęciny, wieprzowiny, drobiu, mózdzków, lub ryby; każde z nich może być gotowane lub pieczone. Pokrajać w kostkę i ułożyć ładnie w wysmarowanych masłem muszelkach.

Na beszamel zrobić białą zasmażkę z dużej łyżki masła (6 — 7 deka) i pięciu do sześciu deka mąki; rozprowadzić dwiema szklankami przegotowanego i ostudzonego mleka (rozprowadzając mlekiem gorącym, będziemy mieli kluski, a nie sos) i zagotować razem. Osolić do smaku, wsypać łyżeczkę od kawy cukru. Jeżeli chcemy mieć beszamel ostrzejszy, można dodać garść sera parmezanu, lub krajowego zielonego, ziołowego. Beszamel powinien być bardzo gęsty, aby nie spływał, a trzymał się po wierzchu mięsa. Pokryć nim grubo ułożone w muszelkach produkty, posypać bułeczką z ostrym tartym serem i wstawić do pieca na kwadrans. Gdy tylko się zrumieni, natychmiast podawać: stojąc, opada. Chcąc zrobić beszamel wykwiutniejszy, możemy zamiast mleka użyć śmietanki, lub też dodać do niego parę żółtek, dobrze rozbitych.

Pani Elżbieta.

**Praktyczna i niezbędną dla każdej gospodyni
jest książka p t.**

„Przystawki gorące“

zawierająca około stu przepisów.

Cena każdej książki 1 zł, 50 gr.

z przes. poczt. 1 zł, 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ — Warszawa,
Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. Nr. 13.555.

Z n a w c o m

herbata Lyons'a

daje pełne zadowolenie

Herbata Lyons'a

DO NABYCIA

we wszystkich pierwszorzę-
dnych handlach kolonialnych.

215

PRZEPISY GOSPODARSKIE

PACZKI Z JEDNEGO KILO MĄKI.

Już kilkakrotnie otrzymywałam listy czytelniczek „Bluszczu“ z wyrazami niezadowolenia, że podaję przepisy na paczki w zbyt dużych ilościach. Pretensje te były o tyle niesłuszne, że przecież łatwo zmniejszyć każdą proporcję. Niezależnie od tego, uważam, że duży nakład pracy przy robocie paczków oplaci się dopiero przy wykonaniu dużej ich ilości.

Dla osób, chcących czas swój tej zmuudnej pracy poświęcić, lub też zamieszkałych na wsi, czy w małych miastach, gdzie dobrych, cukierniczych paczków zdobyć nie sposób — podaję tutaj przepis na mniejszą ich ilość.

Z proporcji, tu podanej, wyjdzie od 30 do 50 paczków, zależnie od ich wielkości.

Pół szklanki (raczej skape) mąki sparzyć pół szklanką wrzącego mleka i wybić doskonale, aby klusieczek nie było. Gdy przestygnie, wlać w to pięć do sześciu deka drożdży, rozbitych w pół szklance letniego mleka, wybić znów doskonale, dać podrosnąć.

Dziesięć żółtek utrzeć z ćwierć kilo cukru-pudru (robiąc oszczędnie, można wziąć sześć żółtek, i paczki będą dobre), dodając ćwierć laski wanilji, utłuczonej z cukrem, i kieliszek araku lub chociaż spirytusu. Włożyć to wszystko razem do roz-

czynu, wraz z jednym kilo najlepszej mąki, przesianej i ogrzanej, dolać piętnaście deka sklarowanego masła i wyrabiać aż od ręki odstanie. Przykryć, postawić w cieple.

Gdy dobrze podrośnie, brać ciasto po kawalku, rozciągać cienko na stolnicy, przysypanej mąką, i wycinać szklanką pączki. O ile chcemy je mieć nadziewane, należy w odpowiednich odstępach kłaść po łyżeczce od kawy osączonych z syropu konfitur, przykryć drugą warstwą cienko, w ręku, rozciągniętego ciasta i wycinać pączki, uważając, aby konfitury wypadły w samym środku każdego pączka i syrop się nigdzie nie sączył. Pączki układać na desce, posypanej mąką, i postawić, aby poraz trzeci podrosły. Smażyć w rozpalonym szmalcu, kładąc wyrośniętą stroną w dół. W czasie smażenia przykryć rondel pokrywą, a lepiej rosną. Ładnie z obu stron zrumienione posypywać cukrem, utluczonym z wanilią, bądź też maczać w syropie cukrowym, aromatyzowanym arakiem lub esencją poncezową.

FAWORKI BARDZO KRUCHE.

Dwa jaja całe, dwa żółtka, łyżeczka gęstej śmietany, łyżeczka oliwy, łyżeczka cukru-pudru i tyle mąki, ile się wgniecie. Ciasto należy wyrabiać bardzo długo, bijąc je wałkiem do ciasta, lub uderzając niem mocno o stolnicę. Powinno być tak doskonale wyrobione, aby się dało wałkować, nie podsypując wcale mąką. Gdybyśmy faworki przy wałkowaniu podsypywali mąką, część tej mąki dostawałaby się do szmalcu, palila na dnie rondla i faworki rumieniłyby się zbyt mocno, a nawet nabierały zapachu spalenizny. Faworki należy wałkować jak najcieniej, krajać w pasy, pasy ciąć na ukos na dowolnej długości kawalki, przecinać każdy kawalek pośrodku, przewijając raz lub dwa razy i smażyć na rozpalonym, jak na pączki, szmalcu. Nie rumienić zbyt mocno, — powinny być tylko złociste. Natychmiast po zrumienieniu posypywać obficie cukrem utluczonym z wanilią.

GLÜHWEIN.

Napój nieoceniony tam, gdzie chodzi o prędkie rozgrzanie po dłuższym przebywaniu na mrozie. Powinien być stosowany przy wszelkiego rodzaju kłigach, przyjęciach na wsi, gdzie się jedzie długo końmi, lub chociaż autem, w którym jest wprawdzie cieplej, lecz podróżny z braku ruchu sztywnieje.

Na trzy zwykłe butelki czerwonego wina (może, być krajowe, owocowe) bierzemy jedną butelkę wody, filiżankę lub nieco więcej cukru (słodycz napoju zależy od gustu gospodyni i cierpkości wina), pół butelki konjaku (może być krajowy wiśniak) i korzenie: dwanaście goździków, laska cynamonu, pół galki muszkatołowej, parę kawalków imbiru (kto lubi może dodać ćwierć laski wanilji, lub ze cztery strączki kordamonu, albo cienko ściętą skórkę z pół cytryny czy całej pomarańczy). Dobór zapachów zależy zupełnie od gustu. Korzenie i cukier zagotować z winem i wodą i trzymać przykryte w cieple. Na chwilę przed podaniem wlewamy koniak, rozgrzewamy glühwein (nie gotując więcej), jaknajgorętszy nalewamy już przy stole w szklaneczki i podajemy.

MOCNY KRUSZON DLA PANÓW

Na sześć butelek lekkiego, białego wina: Graves, Barsac, Loupiac i t. p. — butelka konjaku, ćwierć litra likieru „marasquino“, niepełna szklanka cukru, trzy pomarańcze malinowe lub pół ananasa (wszystkie te napoje mogą być krajowe, a kruszon o połowę taniej wypadnie). Owoce pokrajać w drobne płatki (ananas obrany, pomarańcze ze skórką), zasypać cukrem, zalać butelką wina, przykryć, aby się aromat nie ulatniał, mięszać, żeby się cukier rozpuścił. Przed samem podaniem wlać resztę wina, koniak i likier, wymieszać dobrze, włożyć półtora kilo porąbanego w kawalki lodu (sztucznego, gdyż tylko taki jest czysty), przelać do dzbanków i podawać. *Pani Elżbieta.*

DOBRE RADY

Aby nie miły zapach kapusty lub kalafjorów, wydzielający się z nich przy gotowaniu, nie zatruwał powietrza, trzeba włożyć w naczynie, w którym się gotują kawalek skórki od razowego chleba, zawiniętej w czysty gałganek.

* * *

Rzeczy, uszkodzone przez wilgoć, zwinąć, kładąc w środek kawalek zmoczonego i wyżętego białego perkalu, utrzymywać w wilgoci przez 24 godziny, następnie wysuszyć; jeśli to był jedwab, wycierać mocno miejsca zapleśniałe kawalkiem aksamitu, jeżeli aksamit — kawalkiem merli. Bawełniane rzeczy zmoczyć gotującym się mlekiem i rozpostrzeć na słońcu.

W braku polskich podręczników grzyboznawstwa, w celu umożliwienia najszerszym warstwom społeczeństwa stałego kontaktu z nowoczesnym stanem tej praktycznie dla Polski pożytecznej nauki powstaje pod kierownictwem znanego czytelnikom p. prof. Teodorowicza *Poradnia Grzyboznawcza*.

Korzystać z niej mogą wszyscy w zakresie każdej z gałęzi grzyboznawstwa naukowego i praktycznego, szczególnie zaś w sprawach dotyczących hodowli i sposobów użytkowania grzybów wyższych, tak sztucznie uprawianych, jak i dziko rosnących.

Poradnia udziela odpowiedzi tylko na zapytania, do których dołączono ofrankowaną, wyraźnie zaadresowaną kopertę i dowód wpłacenia w urzędzie pocztowym kwoty 2 zł. na rachunek P. K. O. Poznań, nr. 155-473, dla firmy: „Poradnia Grzyboznawcza“.

Na zapytania w zakresie hodowli pieczarek, nieskierowane do Poradni, odpowiedzi udzielać się nie będzie!

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**
Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZY“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZY“, Rybarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Nasza ankieta gospodarcza.

Niniejszem przypominamy Sz. Czytelniczkom naszą ankietę, której celem jest racjonalna organizacja zakupów, dla jaknajwiększego pożytku każdej jednostki i rodziny, a także zdobycie, drogą zjednoczenia siły nabywczej, wpływu na rozwój naszego krajowego handlu i przemysłu.

Prosimy o nadsyłanie odpowiedzi na podane poniżej zapytania, z uwzględnieniem własnych dezyderatów i projektów:

1) Czy załatwia Pani osobiście wszystkie zakupy: produkty spożywcze, bieliznę, ubranie, obuwie, meble, książki, przedmioty zbytkowne? Czy też część tych sprawunków robi mąż, dzieci, ewentualnie służąca?

2) Czy kupuje Pani u stałych dostawców, czy też przygodnie, po drodze, oglądając wystawę, za poradą znajomych, czy z ogłoszenia?

3) Czy widzi Pani znaczącą różnicę między towarami i wyrobami zagranicznymi i w jakich przedmiotach?

4) Czy w miejscu swego zamieszkania zauważyła Pani brak towarów i przedmiotów codziennego użytku, znajdujących się w innych, podobnych miejscowościach kraju?

5) Czy stara się Pani o wyjaśnienie przyczyny różnych braków i wad towarów i przedmiotów, zakupionych, lub traktowanych o kupno, ewentualnie czy zgłasza Pani swoje żądania w tym zakresie?

6) Jakie spostrzeżenia poczyniła Pani w sprawie dokładności wagi, solidnego i estetycznego opakowania, odsyłania przedmiotów do domu, traktowania klientów, udzielania kredytu i t. p. ułatwień?

7) Czy przed załatwieniem ważniejszych sprawunków czyta Pani ogłoszenia w pismach i kieruje się nimi i z jakim rezultatem?

8) Jakie ogłoszenia chciałaby Pani widzieć w „Bluszczu“?

9) Po jakie zakupy przyjeżdża Pani do stolicy, ewentualnie do innych wielkich miast polskich?

10) Uwagi specjalne.

W odpowiedziach prosimy podawać jedynie numery pytań.

REDAKCJA.

„I jeszcze o pracy społecznej słów kilka“

Po przeczytaniu artykułu p. J. Strzeleckiej o pracy społecznej kobiet, tak byłam przekonana o słuszności dowodzeń Autorki, że nawet nie chciało mi się zabierać głosu w tej sprawie; dopiero list p. Mossoczowej zbudził mnie z letargu i skłonił do wyłożenia swych „racji“, bo okazuje się, że artykuł p. S., odpowiadający najzupełniej poglądom jednej grupy kobiet, na innej grupie „prawdziwie pracujących“, „wywarł przykre wrażenie“.

A więc, nie zdaje mi się, że p. S. „utożsamia pracę społeczną z ilością świąt, uroczystości i t. p.“, tylko zwraca słuszną uwagę, że już pora, aby tego rodzaju „prace“ mniej czasu społeczeństwu zabierały, bo przecież do dzisiaj dla każdej uroczystości stwarza się specjalny komitet, w którym „zasiadają“ czasem kilkakrotnie po parę godzin różni przedstawiciele miejscowej inteligencji i organizacyj po to, aby ostatecznie wykonanie programu powierzyć np. młodzieży szkolnej.

Zgadzałem się z poglądami p. S., nie zgadzam się z ujęciem „pracy społecznej“ przez p. Mossoczową. Píše p. M. „Istnieje w naszych duszach silnie zakorzeniony egoizm społeczny, czy rodzinny, który twierdzi, że kobieta już spełnia doskonale swe obowiązki

społeczne, tem samem, że jest dobrą matką, żoną, gospodynią, nauczycielką i t. d.“

Tak mi się zdaje, że „zakorzeniony silnie“ tego rodzaju „egoizm“ rozwiązałby problem pracy społecznej, bo o to chodzi, aby każdy dobrze spełniał swe obowiązki, o to chodzi, aby każda praca była społeczną, nie tylko ta z łaski, w wolnych chwilach od innych zajęć. Żeby to tak, przez ten „zakorzeniony egoizm“, każda matka była dobrą matką, każda żona dobrą żoną, każda nauczycielka dobrą nauczycielką i t. d., i t. d., w zastosowaniu do wszystkich zawodów, w głębokim ujęciu tego słowa „dobry“, to, proszę państwa, niema problemu pracy społecznej: wszystko będzie pomyślnie załatwione!

Nie mogę też zgodzić się z p. M., że „każda kobieta bez wyjątku powinna choć godzinę tygodniowo poświęcić „pracy społecznej“, bo nie widzę, kto na tem skorzysta. Niech mi p. M. daruje, ale nie wierzę w pracę „ludzi dobrej woli“; wolę zawsze i wszędzie uzdolnionych fachowców, a z doświadczenia wiem, że nie tak nie utrudnia roboty, jak uzależnianie jej od wielkiej liczby osób, mogących „raz na tydzień poświęcić godzinkę czasu“. To nie jest praca, to jest tylko „bawienie się w pracę“. Píše p. M., że „praca zapłacona“ „to zupełnie co innego“; z tem najzupełniej się zgadzam, ale we własnej interpretacji, t.

zn., stawiam ją bez porównania wyżej od wszelkiej miłosiernej łaski. Osobiście, nietylko nie zachęcałabym pań do „poświęcenia godzinki czasu“ np. na nauczanie analfabetów, ale, ile sił, zniechęcałabym je do tej roboty, w głębokim przeświadczeniu, że więcej zepsują, niż naprawią; niech to zostawia fachowym nauczycielom; tak samo niech zostawia opiekę w przytułkach, żłobkach, ochronkach i t. p. zawodowym pielęgniarcom, pracę na wsi instruktorom rolnym i t. d., a tę „godzinę czasu“ niech lepiej zużyją na zapoznanie się, dla własnego domowego użytku, z zasadami pedagogiki i higieny.

Jeszcze w drużynie harcerskiej wpojono we mnie przekonanie, że „nawet guzik można przyszyć z myślą o Ojczyźnie“, t. zn. porządnie i dokładnie, żeby nie było w Polsce tandety; myślę, że ta zasada powinna być dewizą każdej pracy, a wtedy nie będzie prac społecznych i niespołecznych.

Ponieważ jestem z natury niedowiarkiem, więc też nie wierzę w istnienie „wrogów pracy społecznej“ (chyba takich, którzy są wrogami wszelkiej pracy, t. zn. zawodowych leniuchów); myślę, że ci „wrogowie pracy społecznej“ są raczej wrogami tego „pracowitego próżnowania“. *Lucja Mościcka — Augustów.*

Dzielne gospodynie płockie

W Płocku, w sali Okręgowego Towarzystwa Rolniczego, odbyło się zebranie Koła Gospodyń Wiejskich. Przewodniczyła zebraniu p. Zdanowska, przewodnicząca wydziału Kół Gospodyń Wiejskich z Warszawy.

P. Zdanowska w pięknym przemówieniu skreśliła historję powstania kół, ich działalność w czasach niewoli, konstatuując wreszcie obecny ich, tak wielce pożyteczny rozwój. Serdeczne, a jędrne słowa p. Zdanowskiej padały na wdzięczną glebę. Na twarzach słuchaczek malował się wyraz wdzięczności dla tej, którą sprawa ich tak do głębi przejęła.

Po p. Zdanowskiej przemawiała p. Ładzina, inspektorka wojewódzka, biorąc za temat higienę wsi, nawołując gorąco do tej akcji radne kół gospodyń. Dopełniła przemówień p. J. Zabłocka referatem o hodowli kur.

P. M. Płoska, przewodnicząca sekcji kół gospodyń Ziemi płockiej, zabrała głos w sprawie ochronki dla dzieci w wieku przedszkolnym. Na poparcie tej idei, niezmiernie trafnie zastosowane było na zakończenie zebrania przedstawienie takiej ochronki, do której uczęszczają dzieci służby folwarcznej z Gilina, majątku pp. Gorzechowskich. Pod kierunkiem instruktorki, p. Gowdzikówny, dzieci w kilka par odtańczyły krakowiaka w barwnych kostjumach krakowskich. Pierwsza parka, śpiewająca i tańcząca bardzo udatnie, jak na swój wiek, liczyła razem siedem lat, a cały zespół aktorów składał się z uczestników, nieprzekraczających siedmiu lat.

Po skończonem przedstawieniu, zebrane na posiedzeniu przedstawicielki Kół gremjalnie zgrupowa-

ły się około prezydjalnego stołu; by zgłosić zapisy na organizowanie ochronek. Jakkolwiek podziałała tu na decyzję bardziej zewnętrzna forma, patrzmy na to pobłażliwie, mając na uwadze dobro danej sprawy.

Czuję się w obowiązku dodać na zakończenie, że w pracy Kół Gospodyń Wiejskich widzi się na każdym kroku światły i pełen dobrej woli wpływ i kierunek kobiety, pełnej poczucia obywatelskiego. Nasza kobieta, obywatelka kraju, staje znów na właściwym sobie, a tak już historycznie ustalonym terenie. *Marja Belina — Płock.*

Nasza ankieta gospodarcza

1. Część wyżej wymienionych sprawunków załatwia służąca.
2. Sprawunki załatwiam przeważnie u stałych dostawców
3. Uważam wyroby krajowe za dogadzające mi, unikam zagranicznych.
4. Ponieważ mieszkam na prowincji, więc niektóre przedmioty, z zakresu ubraniowego, załatwiam w Warszawie.
5. Żadnych wymagań z zakresu braków nie zgłaszam; czekam sposobności i uzupełniam w Warszawie.
6. W sprawie dokładności wagi, estetycznego opakowania, udzielania kredytu i t. d. żadnych skarg nie zgłaszam, jestem zawsze dobrze obsłużona i całkowicie zadowolona.
7. Przed załatwianiem sprawunków nie kieruję się czytaniem ogłoszeń, załatwiam w miarę potrzeby i zaufania do firm.
8. W „Bluszczu“ radabym widzieć ogłoszenia ludzi, potrzebujących pomocy społeczeństwa.
9. Do stolicy przyjeżdżam po zakupy ubraniowe.

A. N. — Piotrków.

1. Produkty spożywcze w większych ilościach kupuję 2 razy na miesiąc sama, drobne, codzienne sprawunki załatwia służąca. Książki, obuwie, ubranie kupuję osobiście.
2. Towary stale nabywam w tych samych sklepach, z ogłoszeń prawie nigdy nie korzystam.
3. Nie widzę różnicy między naszymi, a zagranicznymi towarami, z wyjątkiem produktów leczniczych.
4. W mieście naszym można naogół dostać wszystkiego; trudniej o nuty, niektóre książki szkolne i gustowne dodatki do sukien.
5. Ponieważ na osobiste potrzeby wystarczają tutejsze towary, więc nie zgłaszam żadnych braków.
6. Co do dokładności wagi, miary, estetycznego opakowania, uprzejmości, kredytu, uważam, że kupiectwo nasze nie do życzenia nie pozostawia.
7. Ogłoszenia w pismach czytam, lecz się nimi nie kieruję, gdyż nie mam zaufania do reklam, uważając, że im większa reklama tem większa tandeta. Stwierdzam, że jest to moje osobiste spostrzeżenie, lecz może wcale nie miarodajne.
8. W „Bluszczu“ chciałabym widzieć ogłoszenia firm, gdzie możnaby dostać wyroby przemysłu ludowego po tańszych cenach. Gdy tyle się mówi o konieczności estetycznego urządzania mieszkań, powinny te towary być udostępnione dla warstw szerszych, a, niestety, wyroby te są niesłychanie drogie, zaczawszy np. od kilimów, a skończywszy na drobiazgach glinianych i koszykarskich.
9. Zakupy wszystkie załatwiam w naszym mieście, wyjątek stanowią tylko palta zimowe; brak tu polskich krawców.
10. Pragnęłabym widzieć ujednostajnienie cen w artykułach spożywczych, w których różnica bywa czasem dość znaczna; odstęca to bardzo ubogą ludność od sklepów chrześcijańskich. Pożądane byłoby również, aby sklepy chrześcijańskie nabywały towary z hurtowni polskiej, a nie od drobnych żydowskich dostawców.

E. K. — Piotrków.

M O D Y I R O B O T Y



14. Palto ciemno-brązowe, przybrane lisami naturalnego koloru.



ŻEBY BYŁO CIEPŁO POD SPODEM

Co robić w dnie zimowe, kiedy jest zimno na dworze, a nieraz i w mieszkaniu, lub lokalu biurowym? Co robić, żeby nie marznąć w obcisłej sukience z jedwabiu lub cienkiej wełny?

Odpowiedź pozornie nieskomplikowana: — ciepło się ubierać. — Ba! ale jak to zrobić?

W biurze można nosić sweater, albo jakąś na ten temat odmianę. W domu — ditto. Ale jak zrobić, żeby nie marznąć w eleganckiej sukni popołudniowej? — Ciepło się ubrać pod spodem. — Ale to przecież będzie znąć! Modne sukienki są przecie takie obcisłe i w pasie, i w biodrach, i wszędzie. — Należy więc nosić ciepłą bieliznę, ale nosić jej bardzo niewiele, z jaknajcieńszej i jaknajczystszej wełny, bo wełna czysta najmniej zajmuje miejsca i najbardziej grzeje. Może też być trykot wełniany.



15

16



18

19



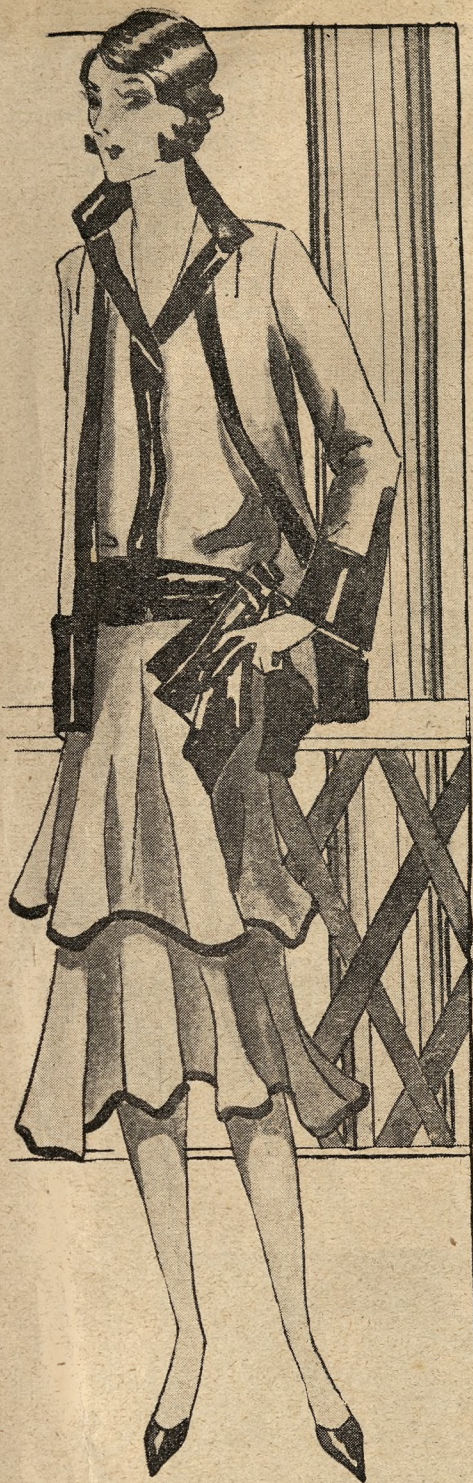
17



15. Suknia z flory koloru wj-
śniowego, przybrana guzikami.
16. Suknia z woalu deseniowe-
go z gładkim kołnierzykiem.
17. Suknia z crêpe-satin i żor-
zety czarnej i popielatej.
18. Suknia z lekkiej wełny ko-
loru szaro-lila, wykończona
myszyciem włóczką do cieniu.
19. Suknia z wełny piaskowej,
przybrana guzikami.

przetykany jedwabiem, ale bez ba-
wełny. Combinaison, zastępujące
staniec, koszulkę i majteczki,
z przodu stanowiące całość, z tyłu
zapinane od pasa, można wykonać
z flaneli lub każdego z dobrych try-
kotów wełnianych. Pod jedwabne
pończoszki można nosić cieniutkie
pończoszki z cielistej wełny, niedo-
strzegalne dla oka, a chroniące przed
zaziębieniem nóżki, cokolwiek wy-
delikaczone ciepłem wzorzystej, weł-
nianej pończoszki sportowej, noszo-
nej przed południem.

Na ulicę mamy boty, tak wyso-
kie, że sięgają niemal rąbka dzien-
nej sukienki, która, zgodnie z ostat-
nimi nakazami mody, nie powinna
pod żadnym pozorem odsłaniać ko-
lan. Najładniejsze są boty bez kla-



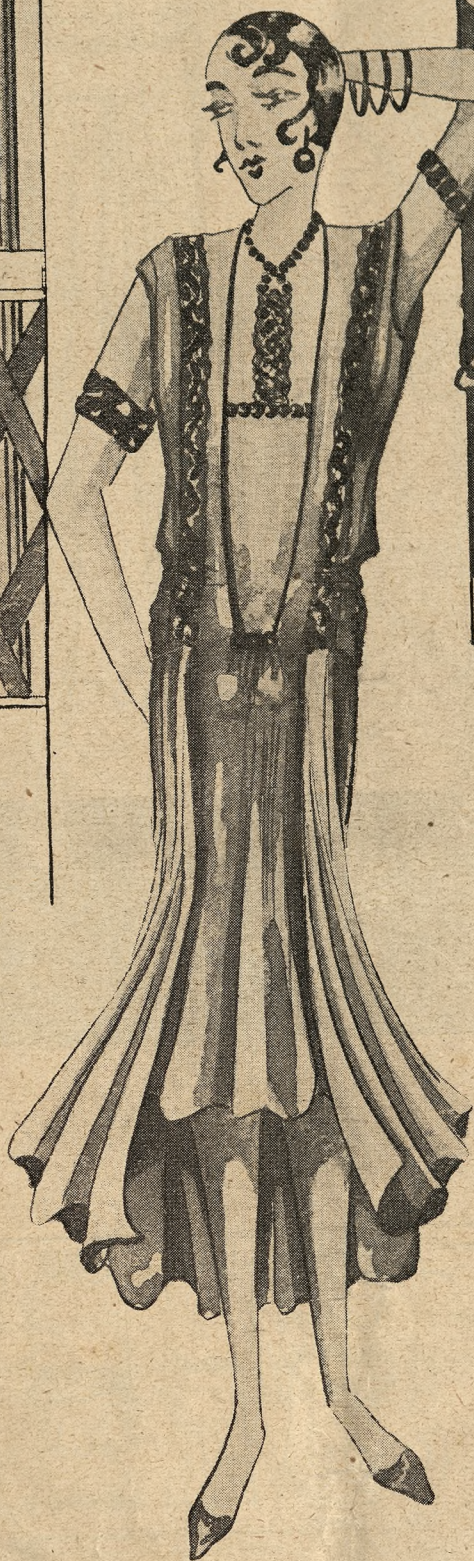
20

20. Suknia z jedwabiu lub wlny, wykończona aksamitem do cieniu.

21. Suknia wieczorowa z jedwabiu koloru dahlia, przybrana galonami z pacioreczków.

22. Suknia z wlny w krale i gładkiej.

23. Suknia z jedwabiu piaskowego i mory do cieniu.



21



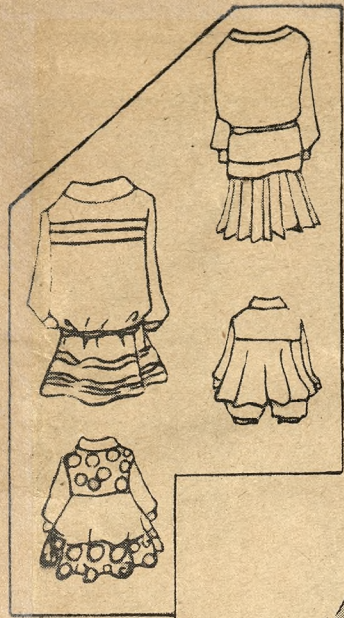
22

23

sycznego mankietu, z bezczelnej symulacji karakułów, zapinane z przodu systemem „éclair”, ciasno opinające kostkę i łydkę, niczem nożna rękawiczka. W tych innych wygląda się trochę, jak ów bajkowy kot w butach, osobistość zresztą wszechstronnie sympatyczna. Takie podobieństwo mamy, w oczach dzieci może jej wyjść tylko na korzyść.

Nocną bieliznę powinno się w zimie nosić z flaneli. Pyjamę, albo koszulę nocną z rękawami bardzo długą, żeby było wszędzie ciepło. Nie szpetniejszego, jak spuchnięte odmrożone kostki, granatowe z odziebienia ręce i zaczerwienione od kataru powieki i noski! O tem niech raczą pamiętać wytwornisie, nie lubiące dbać o to, żeby było ciepło pod spodem.

Well.



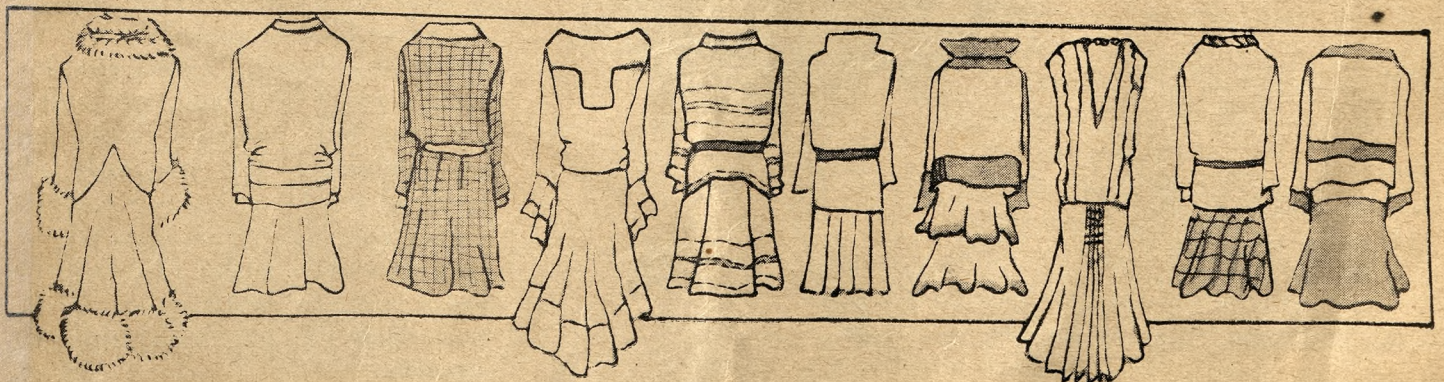
- 24. Sukienka z woalu gładkiego i deseniowego.
- 25. Sukienka popielata, przybrana granatowymi naszyciami.
- 26. Sukienka z lekkiej wełny, lub woalu.
- 27. Sukienka ponsowa z granatowym, przybrana granatowym wyszyciem.

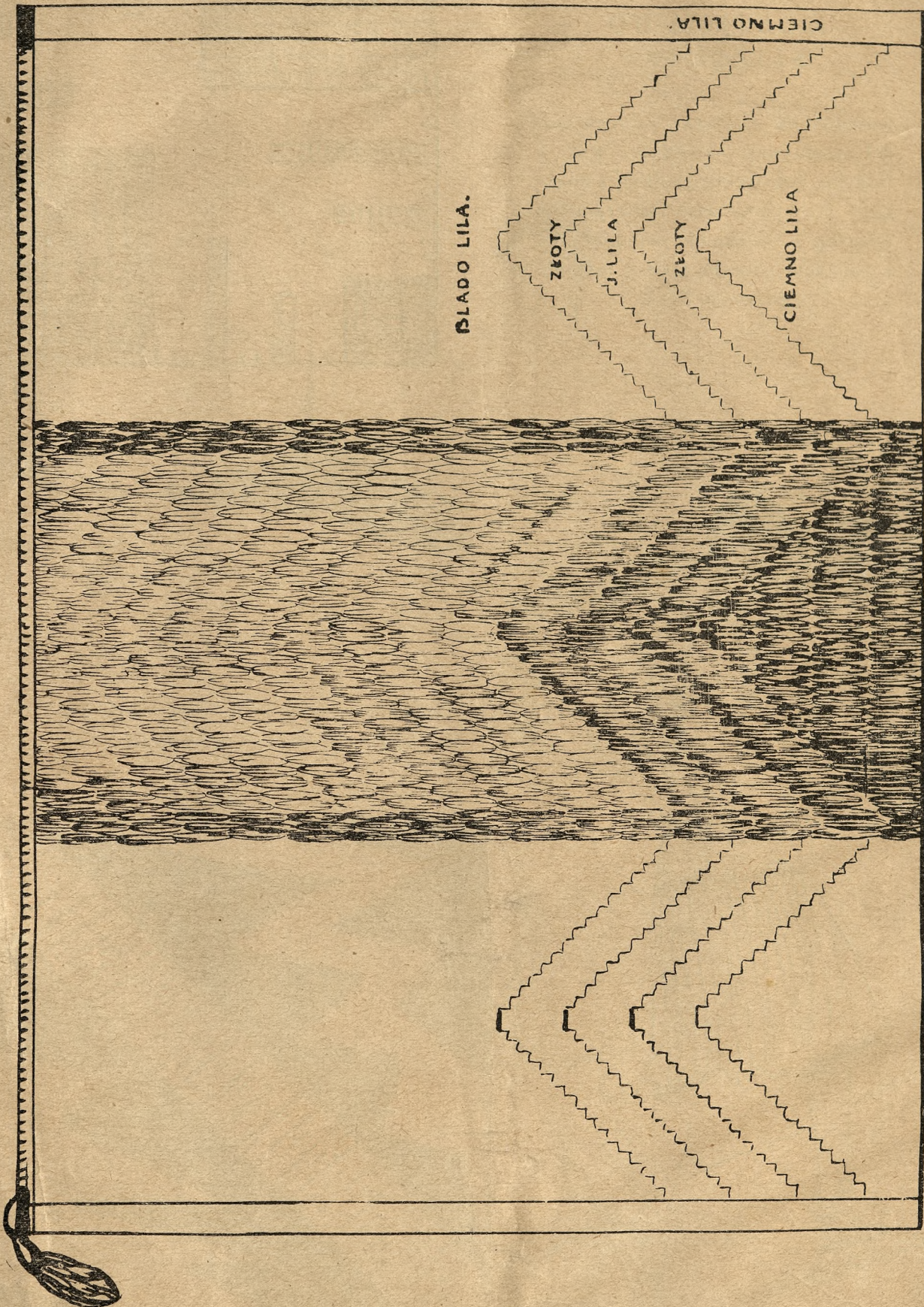
24

25

26

27

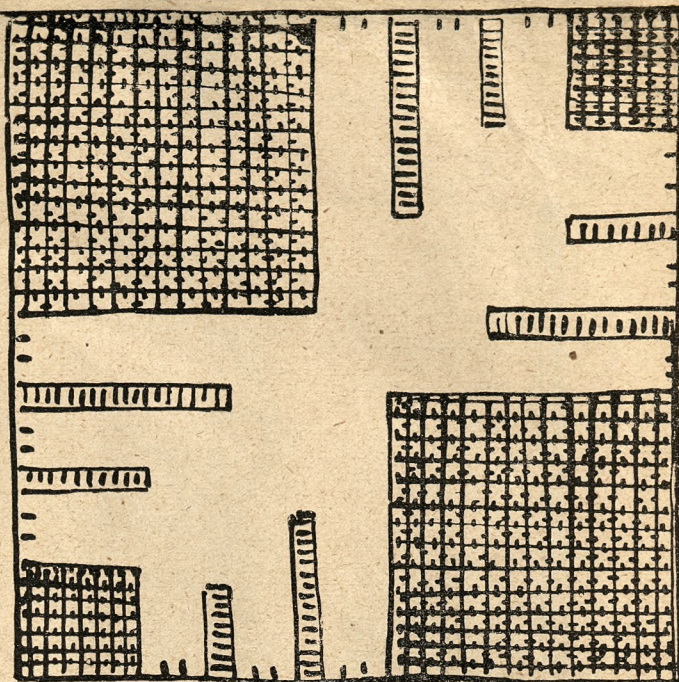




28. Płaski moreczek, myszyjfy na kamie ścięgiem gobelinowym.

KOSTJUM DO ŚLIZGAWKI

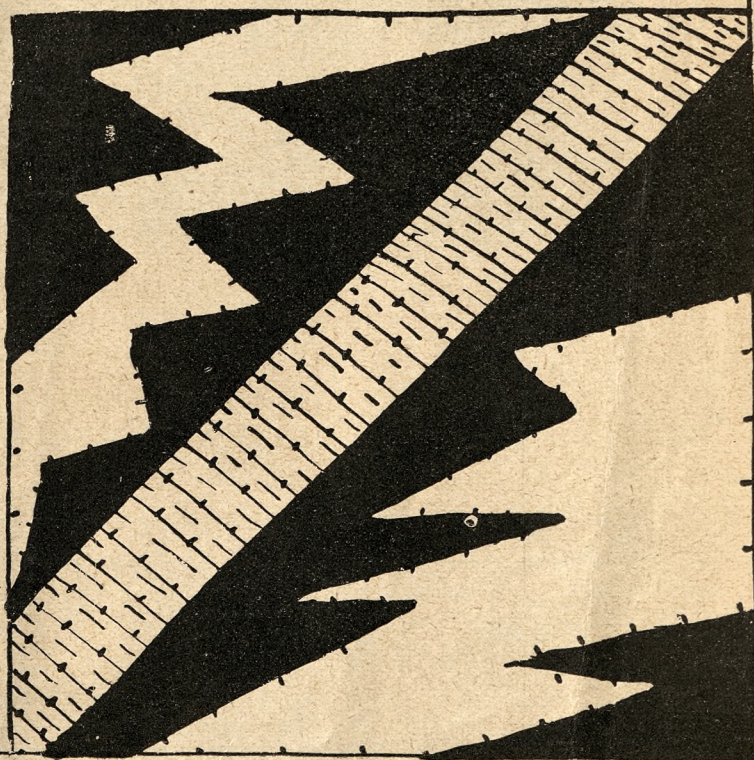
Kostjum do ślizgawki, którego model podajemy, zrobiony jest z tweed'u, lub wełny gładkiej i miękkiej i wykończony dzierganiem włóczką — kieszenie ozdobione są wyszyciem włóczką podług podanego wzoru Nr. 2.



Nr 2



Zamiast wyszycia włóczką, można ozdobić kieszenie aplikacją podług poniżej podanego wzoru.





*Kostjum do ślizgawki lub nart.
Spódniczka krótka kloszowa—
żakiet sukienny, wykończony
futerkiem i ozdobiony aplika-
cją ze skórki podług wzoru,
podanego na str. 6-ej.*

